

Rok V.
Kraków, dnia 24 grudnia 1911 r.
Nr. 52.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków. ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.







BÓG SIĘ RODZI!

I znowu zajaśniała na niebie gwiazda Betleemska, zwiastująca ludzkości wybawienie z jarzma grzechu. Zajaśniała mocarzom na tronach i niewolnikom w kajdanach, bogaczom kąpiącym się w złocie i nędzarzom na legowiskach Łazarza. Obchodzimy dzień narodzin Tego, który sam jest nieskończoną sprawiedliwością, obrońcą wszystkich uciśnionych i prześladowanych tak potężnym, że wobec Niego wszelkie potęgi świata są niczem zgoła. Ten Bóg mocny i wielki, czuwający nad każdym marnym robaczkiem, czuwa i nad naszym narodem polskim, daje nam wiarę w lepszą przyszłość i siłę do przetrwania złego. Dziękujmy za to Dzieciątku Jezus w rocznicę Jego urodzin, prośmy Go, żeby i nadal nie skąpił nam Bóg wszystkich tych cnót, które potrzebne są społeczeństwom i narodom.

W dniu tym radować się musimy, gdyż anioł opowiada nam wesele wielkie, zwiastuje nam narodzenie Zbawiciela, zdejmującego grzechy z ludu swego.

Starym ojców zwyczajem i my w tym dniu odzywamy się do Czytelników naszych, życząc im z szczerego serca: Wesołych Świąt!

Jesteśmy wszyscy jedną wielką rodziną polską, więc w imię tej jedności łączymy gorące życzenia zgody i miłości wśród dzieci jednej Ojczyzny. Niech ta miłość otoczy każdy nasz czyn, każde życzenie nasze, a wspólnemi siłami dokażemy więcej jak rozprószeni.

Bóg się rodzi... Bóg zgody i miłości, która oby wejść mogła pod dachy nasze z wigilijnym opłatkiem, nie na samą tylko chwilę, kiedy sobie składać będziemy życzenia „Dosiego roku“, ale — na długo, na długo...

Oby serca, przy domowem ogrzane ognisku promieniować mogły ciepłem wzajemnej zgody i miłości coraz dalej i coraz szerzej! Oby promienie od tych naszych ognisk domowych idące nabierały coraz większej siły i coraz większego wpływu wszędzie tam, gdzie ludzie, obcując między sobą, mniemają błędnie, że można obejść się bez nakazanej od Boga miłości ku bliźnim, a nawet bez Boga samego!

Moc truchleje... Moc złości ludzkiej, moc waśni i nienawiści, moc, której rodzicielką piekło, truchleje przed Bogiem, który rodzi się po to, aby wygłosić ludziom święte przykazanie miłości...

Pokoju i zgody życzymy wszystkim Przyjaciołom, Współpracownikom i Czytelnikom naszym, a gdy ona wśród nas zagości, żadne moce i zakusy nieprzyjacielskie nie zmogą nas.

Niechże to święto będzie nam
Świętem miłości i zbratania,
Niech zniknie zawiść, gniew i kłam,
Niech z mroku światło się wyłania.
Niech za tą gwiazdą, co dziś świeci —
Jutrznia przyszłości lepszej wschodzi —
Wszak dzisiaj, dla nas — ziemi dzieci,
W małej stajence Bóg się rodzi!

Redakcya „Roli“.

Rozbójnicze gniazdo.

XXI.

Niezadowolenie miecznikow. — Krzyż dla Janasza. — Nikita w kłopocie. — Postanowienie Jadzi. — W Lublinie. — Wygrany proces. — Choroba i śmierć Skwarki.

Po zapustach i wyjeździe kasztelanica, w Mierzejewicach znowu pusto było, cicho i smutno. Jadzia chodziła, jak dawniej, z żałobną swą twarzą, którą tylko czasem promyk jaki rozjaśnił, gdy na równie smutne oblicza rodziców spojrzała.

Od owego wieczoru, gdy miecznikowa nakłoniła męża, aby o Janaszu zamilczano i odprawiono go w świat tak bez litości, jakby sobie słowo dali oboje, nie wspomnieli o nim więcej. Gdy Nikita chmurny powrócił i odwiózł miecznikowi pieniądze nietknięte, wcale tem niezdziwiony stary, schował je napowrót pod klucz, słowa nie rzekł, ale chodził jak struty. Żonie raz tylko szepnął:

— A co, nie mówiłem? pieniądze powróciły.

Zbladła jejmość, zmieszała się, i potem nie mówili już więcej. Jejmość udawała wesołą dla córki i dla męża, siliła się na to, a gdy została sama, wzdychała i popłakiwała. Miecznika trudno było poznać. Z natury wesoły, rubaszny, nawykły sobie wszystko na dobre tłómaczyć, śmiać się nawet z rzeczy, które drugich gryzły i niecierpliwiły, zrobił się teraz nadzwyczaj popędliwym i gniewnym. Na Jadzię nawet gniewał się czasami i gderał.

Dobierał zabaw i rozrywek napróżno. On i żona chodzili niepokojeni w sumieniu, patrzyli na siebie i gryźli się sobą i córką. Jednakże żadne z nich nigdy o tem rozmowy nie wszczęło; o Janaszu, jakby go na świecie nie było, milczano w domu. Zdawało się, że wszyscy sobie słowo dali, aby go nigdy nie wspominać. Raz tylko Jadwisia z przypadku przypomniała ojcu, że obiecał był na pamiątkę wychowańcowi krzyż na cmentarzu postawić, choć ciało jego tam nie spoczywało, ażeby się ktoś czasem za jego duszę pomodlił.

Miecznik strasznie się zmieszał.

— Kochany tatku — rzekła Jadzia — przecież on sobie na to zasłużył. Uratował mnie i matkę uratował ciebie, sam zginął... to mu się należy.

Miała łzy w oczach i głos drżący; ojciec popatrzył zdziwiony.

— Jak tylko się słowo rzekło, to, się zrobi...

— Krzyż nie będzie dużo kosztował — dodała Jadzia — jabym nawet... ja mam trochę oszczędzonych pieniędzy od moich krówek; mnie to niepotrzebne, jabym to dała na krzyż dla niego.

Dokończyła bardzo cicho, spuściwszy oczy. — Miecznik stał i palcami kręcił, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Ale to się i bez tego zrobi. Kiedy ci mówię.

Zląkł się w rzeczy, aby córka bez wiedzy jego żywemu nie postawiła krzyża.

— Proszę cię, zostaw to mnie — dodał — ja to sam w swoim czasie każę zrobić.

— Ale, tatku, pacierze przepadają, którebymu krzyż przyciągnął. Jakaż dusza ich nie potrzebuje?

Zboiński oczy spuścił. Cały dzień potem chodził znowu gniewny, a nazajutrz na trzy dni w sąsiedztwo wyjechał.

Przeszedł wielki post, nadeszła Wielkanoc i wiosna. Jadzi przypomniała ona dawne lata, wznowiła żal i tęsknotę po przeszłości. Chodziła do ogrodu płakać. Krzyż, którego wystawienia tak mocno żądała, niepokoił ją. Obliczyła się ze swemi pieniądzmi a miała więcej niż trzydzieści bitych talarów, to jest dwa razy tyle, ile na najpiękniejszy krzyż naówczas było potrzeba. Postanowiła sobie użyć Nikitę, który tak kochał Janasza, i wyszpiegowała go po obiedzie, gdy stał w ganku, aby z tem wybiedz do niego.

— Mój Nikito — zawołała — mam prośbę do ciebie, wielką prośbę, ale ty o tem nikomu nic nie mów.

Zbliżyła się, oglądając.

— Prawda, kochałeś Janasza?

— O, panienko! jak ja go kocham! — odezwał się Nikita.

— Ja dawno ojca prosiłam i proszę; obiecał mi, że dla jego pamięci, żeby się ktoś choć za duszę jego pomodlił, każe na cmentarzu krzyż postawić, ale ojciec zajęty, tyle ma rzeczy na głowie, ja pieniądze dam, ty mi to zrób...

Słuchając, Nikita zbladł, zmieszał się nadzwyczajnie, zadumał, nie wiedział co mówić.

Wreszcie, po długim namyśle, odezwał się:

— Proszę panienki, to w żaden sposób nie może być.

— Dlaczego?

— Bo Turcy, to naród bez czci i wiary. Oni powiedzieli, że umarł, a kto to wie?

— Jakto? — zawołała, chwytając go za ręce — ty sądzisz, że on żyje? ty myślisz, że on żyć może?

Zarumieniła się, oczy zaiskrzyły. Nikicie zrobiło się dziwnie na sercu, żałował jej, ale ust otworzyć nie mógł.

— Co ja wiem, proszę panienki? — rzekł powoli — co ja głupi, prosty człek mogę wiedzieć? Ja sobie tylko tak myślę: albo to jeden raz tak bywało, że kogo za umarłego w jassyrze ogłosili, a potem i w dziesięć lat powrócił.

Gorąco to jakoś prawił Nikita, ale wnet zmiarkował się, widząc jakie wrażenie czyni na Jadzi, że z tego może być bieda, i zafrasował się.

— Ale niech panienka dobrodziejka zlituje się, nie mówi, że takie rzeczy odemnie słyszała — podchwycił prędko. Tu we dworze u nas o tem nie wolno mówić. Panby mnie kazał obić, gdyby się dowiedział.

— A! nie lękaj się — poczęła Jadzia, której twarz się zarumieniła i rozpromieniła — ja ci serdecznie jestem wdzięczna! Turcy kłamią! tak! On wróci, ja to czuję! Tyś dobry, poczciwy człowiek, tyś mi życie wrócił!

I wsypała mu talary w rękę.

— Weź to dla siebie na wesele. Masz słuszność; nie godzi się stawiać krzyża, a nuż on żyje? O, mój Boże! toby śmierć wywołało! Jaka ja byłam nieopatrzna!... a ojciec, ojciec pewnie myślał tak samo, tylko mi nie chciał powiedzieć.

Mógł sobie powinszować dobrego uczynku Nikita, gdyż od tego dnia, od tej chwili Jadzia z tą myślą, że on żyje, przestała modlić się za duszę — zaczęła modlitwy na intencyę powrotu.

Korzystając ze zmiany usposobienia córki, miecznik wprost i otwarcie raił jej młodzież, której cały spis miał w pamięci: lecz jak tylko rozmowę tę począł, Jadzia się nachmurzała.

— Nienaturalna rzecz — mruczał — żeby panna w jej wieku za mąż iść nie chciała.

Potajemnie więc przez przyjaciół zachęcał młodzież do konkurów. Zjeżdżali się synowie okolicznych obywateli, lecz Jadzia nielitościwie obchodziła się z nimi.

Jeden śmielszy, gdy słówkiem strzelił, odpowiedziała mu stanowczo, iż za mąż iść nie myśli, i gdyby nawet rodzice sobie tego życzyli, będzie ich prosiła, ażeby jej wolę własną zostawili. Drugi prosił o pozwolenie starania się, Jadzia mu rzekła:

— Możesz się pan starać, ale na wszystko najświętsze zaręczam mu, że czas tracisz, ja za mąż nie pójdę.

Poszło to po sąsiedztwie, a krążąc, dojechało do miecznikowej, którą ta śmiałość Jadzi zdziwiła i zniecierpliwiła. Zaczęła jej to wymawiać.

— Moja matuniu — zawołała Jadzia — nie chcecie mnie uczynić nieszczęśliwą, prawda? pozwólcież mi zostać przy was, jak jestem. Nie chcę i nie pójdę za mąż.

— Ale to być nie może.

— Jeśli mnie kto zmuszać będzie, do klasztoru gotowam..

Matka już nie odzywała się więcej. Ojciec coraz chodził chmurniejszy. Z sobą o tem mówić unikali. W domu nigdy tak im obojgu obco, dziwnie, przykro nie było. Miecznik uciekał z niego pod różnemi pozorami, matka płakała.

Mówiliśmy, że Jadzia część swojego wychowania odbyła w klasztorze Brygidek w Lublinie. Przełożona jego. krewna Zboińskich, kochała Jadzię, miała na nią wpływ wielki. Przyszło więc na myśl miecznikowej u niej szukać rady i ratunku. Chciała, by ona Jadzi wmówiła posłuszeństwo dla rodziców, którzy tylko jej szczęścia pragnęli.

Pod pozorem więc potrzebnych do domu zakupów różnych, szepnąwszy o tem mężowi, który się zgodził chętnie, około Zielonych Świątek zaczęła się wybierać do Lublina. Jadzia, która jechała także, cieszyła się niewymownie, że zobaczy matkę Anielę. Pan Zboiński, jak zawsze, sam wybrał konie, dopilnował zaprzęgu, przejechać je kazał przy sobie. Nikitę dodał dla straży i pożegnał odjeżdżające.

Pierwszego dnia po przyjeździe miecznikowej nie było mowy o udaniu się do klasztoru, gdyż fórta wcześnie bywała zamykana. Nazajutrz rano miecznikowa, która miała szczególne nabożeństwo do Drzewa Krzyża świętego, naprzód udała się do Dominikanów. Stąd dopiero pojechały do Brygidek i konie odprawiwszy, pozostały tam dzień cały.

Nikita nie miał co robić, poszedł na miasto. — W lichej odzieży, przy szabelce ladajakiej, w czapczynie wytartej, ale dziwnie pańsko wyglądający, szedł młody mężczyzna z papierami pod pachą, obok drugiego otyłego, czerwonego, z zaiskrzonemi oczyma, który chociaż w ulicy, głośno wrzeszczał i rękami wywijał, jak wiatrak skrzydłami.

W młodym aplikancie poznał Janasza, lecz nie chciał wierzyć oczom. Zdawało mu się niepodobieństwem, ażeby on to mógł być. Poruszony wielce, podbiegł i pochwycił go, gdy już do gmachu trybunalskiego się zbliżał.

— Paniczu! — zawołał na głos.

Janasz się odwrócił.

— Nikita! co ty tu robisz?

Wtem czerwony towarzysz posunął się, jakby chciał umknąć. Janasz zawołał: — »Czekaj tu na mnie!« — i poszedł go doganiać. Razem z nim weszli do gmachu.

Nikita stał, popychany ze wszech stron.

— Co tu teraz począć? myślał: hm?

Chwilę nie było Janasza, który natychmiast zjawiwszy się, Nikity w tłumie szukać zaczął.

— Nikita, co ty tu robisz? bracie! jakżem ja szczęśliwy! Bóg mi cię zesłał. Mów mi o nich!

W ulicy rozmówić się nie było podobna, skręcili więc w prawo, do winiarni. Zarumienił się jednak w progu Janasz i stanął.

— Zostańmy tu — rzekł — wszedłszy, musiałbym coś kazać postawić, ano, po starej znajomości, nie mam nic.

Nikita ręce załamał, popatrzył na suknie, a te świadczyły, że niewiele mieć musiał.

— Będzie nam i tu dobrze — dodał Korczak — mów, proszę.

— Mój paniczu, mój złoty, mój dobrodzieju — podchwycił Nikita — już się nie wstydź, a pozwól mnie kazać coś postawić. Dalibóg nie zubożeję.

I uderzył po kieszeni, w której brzęczały talary.

— Wcalebym się nie wstydził od ciebie przyjąć, mój Nikito, ale ja nie piję, odwykłem.

Uśmiechnął się.

— Żebyś wiedział, jakie życie prowadzę!

Ruszył ramionami.

— To wszystko jedno — dodał — mów o Mierzejewicach: miecznik, jejmość, zdrowi?

Nie śmiał zapytać o Jadzię, ale się zarumienił. Nikita z ukosa spojrzał.

— Ale ja tu z panią i panienką; dziś siedzą u panny Anieli, u Brygidek.

Janasz zadrżał i zmilczał.

— Zdrowi?

— Wszyscy, wszyscy, dzięki Bogu, tylko starzy państwo od tej nocy, kiedy was tak odprawili, niech im Bóg nie pamięta, chodzą oboje jak pościnani. Jedno na drugie spojrzeć nie śmie.

Westchnął.

— Dalibóg — kończył Nikita — oni was żałują wszyscy — i pan i pani, a co panienka, to — jak brata.

— Dobre, złote serce — szepnął Janasz, któremu łza zakręciła się w oku.

— O! serce, paniczu, anielskie... E! taki panu powiem wszystko — począł dworak. — Panna zawsze was ma za umarłego. Otóż poczęła prosić ojca, żeby na cmentarzu krzyż wam kazał postawić, żeby się za waszą duszę modlili. Miecznik się wykręcał, odkładał, aż panienka raz wychodzi do mnie na ganek. Zebrała biedaczka od swoich krów kilkanaście talarów, i koniecznie, żebym ja się tego podjął, za jej pieniądze krzyż kazał zrobić. Tak mnie zagadnęła — co tu począć? — Poszedłem do głowy po rozum. Powiadam, że Turcy często kłamią, że ludzie czasem w dziesięć lat z jassyru wracają. A! paniczu, żebyś ją widział, jaka mi była wdzięczna! I te talary, co miała na krzyż, darowała mi — na wesele. A co? musiałem przyjąć,

Milcząc, słuchał Janasz, oczy miał łez pełne.

— A! — rzekł cicho — gdybym ją mógł widzieć! ale tak, żeby ona mnie nie zobaczyła.

Nikicie oczy zabłysły.

— Czekaj! — zawołał.

— Nie, nie — w tejże chwili podchwycił Janasz — nie godzi się, nie! Ja dziś jadę. Nużbyśmy się w ulicy spotkali! Na co? do czego? Bóg tak chciał, rozdzielił los. Nie można, nie godzi się.

Zarzucił ręce na ramiona Nikicie, który usiłował powstrzymać go, i wyrwał mu się szybko. Odwinął kołnierz od kontusza, zakrył sobie twarz i znikł. Dworak stał, powtarzając: Sumienie. I jemu się łza w czach kręciła.

Szczęściem dla Janasza proces był dokończony, Skwarka jakimś trafem miał sprawę słuszną i — co dziwniejsza, wygrał ją. Mógł więc, postawiony tu dla dozoru, Janasz powracać do tego, co się teraz jego domem nazywało.

Podróż była tem dłuższa, że musieli ją odbywać o zielonej paszy. Siana dawno nie stało, obroku nie było kupić za co, ledwie chleba. Koń więc na brzegu lasu spętany się posilał, a Janasz z chlebem i solą siadał pod drzewem.

Uczucie spełnionego twardego obowiązku czyni czasem człowieka szczęśliwszym, niż gdy ulegnie sercu i uczuciu. Tryumf nad samym sobą daje dopiero miarę własnej siły. Janasz czuł się w tej chwili takim zwycięzcą. Uśmiechał się swej nędzy, upokorzeniu i dobrowolnej ofierze. Wspomnienie Jadzi

przepełniało mu serce. Chciał być jej godnym, choć duszą czystą i sumieniem.

Stanęli w Macieńczynie i ze drzwi Kożuszek się pokazał, zgarbiony bardzo, o kiju. Janasz, który miał papiery przy sobie, wysiadł i poszedł ku niemu.

Skwarka jakoś źle wyglądał, kaszlał i nogi miał brudnemi płachtami poobwiązywane.

— A! przecież — rzekł — przecież się doczekałem. A cóż, dyabli wzięli sprawę?

— Nie — rzekł Janasz.

— Cóż, odroczona?

— Nie.

— Więc co?

— Wygraliśmy.

Skwarka rzucił kij, aby go uścisnąć.

— Ot, toś mi się spisał! ot toż tego się już nie spodziewałem! Dopiero cześnik będzie się wściekał! Aha! dobrze tak! nie zaczepiaj Korczaka!

Odżył stary.

— Ale, widzisz gołąbeczku, kochanie moje, co z mojemi nogami się dzieje! Brzękną łajdaczki, Smaruję kociem sadłem, co mnie ono kosztuje! musiałem dwa cudze koty kazać zabić! Nie pomaga nic. Chodź do izby.

Weszli do środka.

— Ja tu, mój gołąbku — rzekł Korczak — żeby ci twoja izdebka nie pustoszyła się, tom się do niej wniósł z rupieciami. Ty sobie, kochanie, moją pięknie wyporządzisz, tak? nie prawdaż? Będzie ci wygodniej, teraz ciepło, a ja chory.

— Ano, dobrze, pan jesteś gospodarzem w domu — rzekł Janasz obojętnie.

— Ty jesteś złoty chłopiec — odparł stary — ale daj dekret, niech przeczytam.

Rozłożył papier i począł się macać, szukając okularów.

— Tybyś z drogi co zjadł, hę? kochanie moje, ale niema w domu nic. Suche dni, ja tego ściśle pilnuję. Z tego całe niebłogosławieństwo boże.

Mruczał już tylko, zatopiony w czytaniu. Janasz poszedł do nowego mieszkania, żeby rozmowy dalszej uniknąć. Ledwie spocząwszy trochę, trzeba było zająć się restauracyą izby, którą długi w niej pobyt Skwarki uczynił istną ruiną. Janasz się śmiał i wzdychał, ale miał robotę.

Wlokło się życie po staremu. Drugiego dnia dokumenta, dla zabawki, do przepisywania się znalazły, ale stary Korczak z wiosną był słabszy. Nogi mu puchły, ledwie że się poruszał. Janasz radził do doktora.

— Ta! ta! ta! do jakiego doktora? A iluż to ich jest? przy królu jegomości jeden i to żyd — a w Krakowie może ze dwóch. Tam się na wagę złota nie dokupić rady, dopieroż apteka! Czy mnie na to stać? Ruina...

Słuchać o tem nie chciał. We wsi była baba, sławna ze swych smarowideł i zamawiania. Z jej to rady używał już stary kociego sadła, ale to nie pomagało. Przywołana Wojcieszyna kazała nogi odwiązać. Czerwono wyglądały i lśniąco. Spaliła koło nich parę pasemek lnu, mrucząc i rzucając coś precz. Kazała na nowo poobwijać i dała jałowcowe jagody do picia.

Przez parę dni zdawało się lepiej. Skwarka mówił o nowym procesie, ale wstać nie mógł, a żywić się lepiej nie chciał. Jaja, na które dał się namówić, kazał zbierać po wsi u litościwych kobiet bezpłatnie, jako dla chorego pana. Zepsute zostawiał dla służby.

Około śś. Piotra i Pawła, po różnych przejściach i rozmaitych radach Wojcieszyny, Korczak zapadł tak, że się uląkł o życie. Jednej nocy szczególniej, zdusiło go tak, iż zdawało się, że skończy. Janasz go posadził w krześle i tak do rana, drzemiąc, dotrwał w niem.

— Na wszelki przypadek — odezwał się — choć to niema nic strasznego, alebym chciał zobaczyć się z księdzem, tylko nie z tym, którego nie lubię.

— Skądże innego dostaniemy? — rzekł Janasz. — Trzebaby konie posłać.

— A tak, gołąbku, i za furę zapłacić i księdzu co dać...

Pomyślał.

— No, to proście tego, zechce przyjść, rozmówimy się, a nie, ja temu nie winien, on przed Panem Bogiem odpowie. Mnie wszystko jedno na niego grzech. I bądź co bądź cztery kroki do dworu, więcej nad tynfa nie dam i to Boratynka. Niech pójdzie chłopiec, poprosi proboszcza.

— Ja pójdę — rzekł Janasz.

— Nie, ty siedź.

Chłopiec pobiegł na plebanię.

W kwadrans z wielkim hałasem wpadł proboszcz. W progu stanął, oba na siebie oczy podnieśli. Przypatrzywszy mu się ksiądz, złagodniał, skinął głową, nie mówiąc słowa, wziął stołek i siadł przy nim. — Wyszli wszyscy.

Gdy się spowiedź skończyła przygotowanego tynfa chciał dać proboszczowi, ale ten odmówił.

Janasz wyprowadził proboszcza do bramy.

— On do jutra nie dożyje — odezwał się ksiądz — czy waćpan o sobie pomyślał?

— Niechże Bóg broni — przerwał Janasz — żebym w takiej chwili miał o sobie pamiętać. Co będzie to będzie, pójdzie się gdzieindziej.

Ku nocy coraz było gorzej, puchlina podnosiła się do góry, Korczak to sam czuł.

— Już ze mnie nie będzie nic — odezwał się, Janasza biorąc za rękę. — Kochanie moje, tylko mnie dobrze posłuchaj. Daj słowo, że majątek utrzymasz i nie stracisz.

— Ale cóż tam o tem mówić! o tem myśleć! — zawołał Janasz.

— Trzeba, bo i licho wie, kto rozchwyta. Nie stracisz? mów!

— Nie straciłbym, ale po co o tem myśleć!

— Mów, nie stracisz?

Słowo wreszcie wymógł na Janaszu i począł pospiesznie mówić.

— Testament w szufladzie. Pieniądze pod gruszką w ogrodzie garnuszek jeden, w izbie koło komina drugi...

Wyliczanie trwało dosyć długo, przerywane zapytaniem: A nie stracisz?

Nad ranem Kożuszek rozpiął się, stary życia dokonał.

Janasz stał osłupiały długo.

Tak dziwnym losu trafem, najmniej się tego spodziewając, Janasz został dziedzicem wioski i panem znacznego kapitału, bo wszystkie garnki były pełne. Oprócz tego miał Korczak ze trzykroć sto tysięcy złotych bardzo pewnych. Testament był prawomocny, pokrewieństwo czyniło go ze wszech miar ważnym.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to Janasza uczyniło szczęśliwym. Przyjął obojętnie łaskę losu, jakby zniósł cios jego.

Po odprawionym pogrzebie Janasz pragnął Zbylutowskiemu podziękować, który był w istocie tego szczególnego wypadku mimowolnym sprawcą i w tym celu wybrał się do Krakowa.

(Dokończenie nastąpi).

PIEŚŃ ANIOŁÓW.



Kiedy na ziemię Dziecina mała
Przyszła, ażeby zbowić ten świat,
Stajenka w dziwny blask się oblała
I zajaśniała, by rajski kwiat.
Chóry Aniołów z nieba do Pana
Zleciały, aby oddać mu cześć,

A ukląknąwszy w krąg na kolana,
Wzniosły ku niebu wesela pieśń.
I pieśń płynęła wśród nocnej ciszy —
Pieśń, która miała tę dziwną moc,
Że po dziś dzień ją każdy z nas słyszy
Tak dobrze, jako i w ową noc.

Pieśń owa niosła ludziom zbawienie,
W szczęście zmieniała rozpacz i ból,
Strapionym niosła pieśń ukojenie
I radość niosła do chat i pól.
Pieśń ta równała małych z wielkimi
I wszystkich wiodła przed Boży tron,

Bo kto cnotliwie żył na tej ziemi,
Do swojej chwały wzywał go On!
I nie przebrzmiało po dziś dzień echo
Owych radosnych, anielskich, pień,
Bo głos ów słyszym z wielką pociechą
W głębi serc naszych przez noc i dzień.

Antoni St. Bassara.

Dwie wigilie.

Nadszedł wigilijny wieczór długo oczekiwany. Na ulicach jednego z miast amerykańskich zabłysły światła elektryczne. Jedną z ulic idzie dwóch nieznajomych, a z ruchów ich widać, że im spieszno.

— Spóźnimy się, Stanisławie — ozwał się jeden.

— Otóż jesteśmy u celu — przemówił drugi.

Weszli do jednej z kamienic, udali się do góry i po chwili znaleźli się w pokoju oświetlonym.

— Byłem w obawie, że nie przyjdziecie, moi przyjaciele — przemówił do przybywających mężczyzna wzrostu średniego w ubraniu odświętnem.

— Ależ kochany Antosiu! Co tchu spieszyliśmy, aby zjawić się tutaj. Musimy przecież razem spędzić ten uroczysty wieczór.

Antoś poprosił siadać przybyłych, a na twarzy jego jaśniała jakaś radość nieokreślona. Oto przez cały rok po pracy fabrycznej garnęli się do niego po osłodę duszy, pokrzepienie serca; a on czytał im nieraz całemi godzinami o tej drogiej Matce, zakutej w kajdany, która tam za oceanem jęczy i napróżno podnosi zbolałe ramiona, bo okowy kajdan ciężą ku ziemi. I wychodzili zawsze z tego poddasza pokrzepieni na duchu i z nadzieją lepszą w sercu. Dzisiejszy wieczór stokroć uroczystszy, bo to polska wigilia przed Bożem Narodzeniem. Więc mają i stół białym nakryty obrusem i trochę sianka na stole, a u pułapu powieszona mała choinka, przybrana wstążkami i podobiznami bohaterów Polski. Zeszli się we trzech, aby przepędzić ten wieczór. Mieli jeszcze dwóch towarzyszy, ale jeden odjechał do ojczyzny, a drugiego przed dwoma tygodniami pożegnali na wieki. Odszedł on tam, gdzie ból i niedola nie mają przystępu. Pracował razem z nimi i dzielił wspólną dolę tułaczą, aż sztaba żelazna roztrzaskała mu głowę i położyła koniec cierpieniom.

— Poczciwy Jan — odezwał się Antoś — nie przyszedł już z wami. Ostatniego wieczoru przed śmiercią był taki wesół, wspominał o stronach rodzinnych i cieszył się, że na drugie święta Bożego Narodzenia będzie tam u swoich. Niech mu ziemia lekką będzie.

— I nam nie pisano, czy wrócimy do kraju — odpowie jeden z przybyłych.

— Teraz, zanim siędziemy do stołu, połamiemy się opłatkiem nadesłanym z ojczyzny — rzecze Antoś.

Całując się i ściskając, życzyli sobie powrotu do swoich, a łzy kropliste spływały im z oczu, bo żal im ściskał serca za tymi ugorami szarymi, co teraz błyszczą, pokryte białym całunem skrzypiącego śniegu; za tym kościółkiem wiejskim, otoczonym staremi drzewami i za tym dzwonem, co tam dzisiaj rozlega się donośnie, zwołując ludzi na pasterkę. — Zasiedli do stołu, spożyli skromny posiłek, a następnie rozległa się kolęda »Bóg się rodzi« a sąsiedzi długo w noc słyszeli pieśni polskich emigrantów.

Na uboczu wioski L. znajduje się chata niewielka, a w niej mieszka uboga kobiecina z trojgiem nieletnich dziatek. Mąż jej, Jan, od trzech lat przebywa w Ameryce, pracuje we fabryce żelaznej i od czasu do czasu przysyła jej po kilkadziesiąt koron na spłacenie długu, zaciągniętego na zakupno niewielkiego kawałka pola. Dzisiaj Janowa krząta się już od południa po skromnej izdebce; upiekła chleb a teraz zakręciła się koło przygotowania dla dzieci wieczerzy. Dzieci ucieszone przymilają się matce, bo to dzisiaj »wilia«, a wieczór, zaledwie pierwsza gwiazdka zabłyśnie, matka przyniesie do izby siana na stół, nakryje lnianem prześcieradłem, położy opłatek, który przyniósł organista, a potem różne potrawy znajdą się na stole. Dzieci cały dzień nic nie jedzą, tylko wyczekują tej uroczystej chwili wieczornej. Przypominają sobie, jak tatuś przynosił im zawsze z miasteczka na »wilię« jabłuszka i orzeszki; jak po wieczerzy kolędowali wszyscy razem wesoło. Ale tatuś odjechał już dawno daleko, tylko matka wspomni im czasem, że tatuś pisał, przysłał im pieniędzy na ubrańka; wtedy klękają przed obrazem i proszą Boga o zdrowie dla tatusia. Najstarszy chłopczyk, dziesięcioletni Adaś, pyta mateczki:

— Mamusiu, a kiedy tatuś przyjedzie do nas? Czy dzisiaj przy wieczerzy tatusia nie będzie?

— Oj nie, dziecko, tatuś tam daleko, daleko pracuje ciężko, aby nam przysłać pieniędzy na ubranie, na życie. Jak Bozia mu da zdrowie, to na drugi rok razem z nami będzie na »wilii«.

Dzieci posmutniały, uklękły przed obrazem i modliły się do Pana Boga o zdrowie dla ojca i o jego powrót.

Mrok wieczorny zaczął ogarniać przestrzenie, gdy dzieci uklękły do pacierza, więc matka zapaliła małą lampkę i krzątała się dalej, aby podać wieczerzę. Naraz średnia dziewczynka, Jagusia, spojrzała w okno i zobaczyła postać ojca. Skoczyła do matki i krzyknęła: »Tatuś, tatuś idzie!« Matka przestraszona w pierwszej chwili, ogląda się dokoła, lecz nikogo nie widzi, wyszła do sieni i na pole, ale cisza wszędzie panowała głucha. A jednak Jagusia widziała jak zaglądał tatuś przez szyby do izby, widziała jego twarz smutną, pomarszczoną. Złowrogie przeczucie napełniło serce matki; lęk ją przejął okropny zarówno o dziecko, czy je gorączka nie napada, jak również o męża tam daleko. I jakiś dziwny smutek zawitał do wesołej niedawno chatki, który wżarł się złowrogo w serce matki i w dusze niewinnych dziatek. — Wtem odezwał się odgłos kroków ludzkich w sieni i do izby wszedł Michał, syn podwójciego Drwala, który wczoraj powrócił z Ameryki. Poznała go Janowa i ucieszyła się, że jej przynosi dobre wieści od męża, ale oddech zamarł jej w piersi, gdy spojrzała na bladą twarz Michała.

— Uspokójcie się Janowa — zagadnął Michał, widząc Janową, przeczuwającą nieszczęście. — Przyjechałem wczoraj do kraju i przynoszę wam wiadomość od męża; pracowaliśmy w jednej fabryce żelaznej. Oto tu od niego dla was — to mówiąc, podał Janowej małe zawiniątko.

— Mów, mów! czy zdrowy?

— On szczęśliwy... stokroć szczęśliwszy od nas, on tam... poszedł po zapłatę do... nieba!

— Boże, Boże! — krzyknęła Janowa — mój kochany Jaś nie żyje!

— Nie rozpaczajcie, proszę was bardzo, uspokójcie się — pociesza Michał Janową.

A dzieci stoją jak nieme, struchlałe i patrzą na zrozpaczoną matkę.

— Pracowaliśmy razem we fabryce żelaznej — mówi dalej Michał — spadła sztaba żelazna i pozbawiła go życia. Wyspowiadał się przed śmiercią i prosił mnie, abym, gdy wrócę do kraju, oddał wam to zawiniątko. Umierając, prosił, byście się nie martwili, bo taka była wola nieba. Ja się wami zaopiekuję i dopomogę wam w waszej biedzie.

Dzieci zaczęły płakać, więc matka tuli je i pociesza, że tatuś u Bozi o nich nie zapomni.

Uklękli wszyscy i mówią »Wieczne odpoczywanie«, a w tej chwili z wieży kościelnej doleciało echo dzwonu, który żałośnie słał ostatnie ziemskie pożegnanie zmarłemu Janowi; w izbie zapanowała cisza głucha, przerywana słowami »Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!«

Tak obchodzono wigilię w chacie za wsią; o! ileż podobnych było na naszej ziemi, przesiąkłej krwią bohaterów. *Józef Jarmuła.*

Szczęśliwi.

Było to w Wigilię Bożego Narodzenia. Pan Stanisław Roliński siedział zadumany i puszczał od do czasu gęste kłęby dymu. Myśl jego biegła do lat młodzieńczych, do tych lat, w których wśród grona swojej rodziny zasiadał do stołu wigilijnego. Dziś wszystko się zmieniło. Ludzie zazdroszczą mu pozornego szczęścia, podczas gdy w sercu jego dziwne jakieś osamotnienie i pustka bezdenna.

Nie, serce jego nie całkiem puste, bo zaglądają do niego jasne oczka Jagusi, córki biednej wyrobnicy. Roliński odpędza ten widok od siebie, chce się go pozbyć i zakryć przed swemi myślami, ale w żaden sposób nie może, bo widok dziewczyny powraca ponownie i głębiej się w serce zagłębia.

Rzucił Stanisław niedopałek papierosa, naciągnął palto i wyszedł na ulicę, aby ochłonąć trochę z nawału myśli, jakie mu się cisnęły. Nie uspokoił się jednak. Zgrabna postać Jagusi stała mu ciągle przed oczyma i szła krok w krok za nim.



Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu:

– Zostaw dziewczynę w spokoju, ona młodsza znacznie od ciebie, z kim innym prędzej szczęście w swem życiu znajdzie. Cóż ty jej dasz — miłość i majątek?... Kiedy jej młodości potrzeba!

— Dam jej szczęście — odpowiadało serce — życie uścielę jej różami, a ciepło mojego serca i to umiłowanie wielkie wyrówna różnicę wieku.

Dreszcz rozkoszy przeszedł Stanisława, ale opamiętał się i rzekł do siebie:

— Głupiec ze mnie, samolub okrutny, a choćbym nawet ja.. to co ona na to powie?...

Otrząsnął się pod wrażeniem słów własnych i zawrócił ku domowi.

Po drodze spotkał Jagusię. Była to dziewczyna nietyle piękna, co owiana jakimś czarem nieuchwytnym, który pociągał ku sobie i przykuwał na zawsze. Postać jej krępa i zgrabna, twarzyczka zarumieniona zdrowiem i życiem, nadawały jej wdzięk jakiś nietuzinkowy a gdy uśmiech ozdobił jej lica zdolna była rozpalić najtwardsze serce miłością nieograniczoną. Jakaś dziwna nieśmiałość i lękliwość a zarazem figlarność odróżniały ją od rówieśniczek.

Roliński, spotkawszy Jagusię, przystanął chwilę, jakby coś chciał rzec, ale nie uczynił tego. Skłonił się jej tylko grzecznie i poszedł dalej. Dziewczę zarumienione i zawstydzone, że »taki starszy pan« na ulicy się jej kłania, pomknęło szybko, radeby się gdzieś pod ziemię schować.

Roliński tymczasem przy samych drzwiach domu spotkał matkę Jagusi. Pozdrowił ją grzecznie i mimowoli rozpoczął z nią rozmowę, która jednak jakoś nie kleiła się. Roliński chciał bowiem rozmawiać z nią jak z matką Jagusi, podczas gdy ta traktowała go, jak kogoś wyższego, bo bogatszego.

Z goryczą w sercu przerwał rozmowę i wszedł do swojej izby.

— Ha trudno! — szepnął — chyba wyjadę na święta, bo tutaj serce mi pęknąć może!...

Spakował prędko najpotrzebniejsze rzeczy do ręcznego kufereczka i podążył na stacyę kolejową. Na stacyi ruch był wielki, przedświąteczny. Jedni odjeżdżali do znajomych i krewnych, drudzy przyjeżdżali. Na twarzach wszystkich widać było jakieś rozradowanie i wesołość. Tem większy więc smutek ogarniał Stanisława. Z nawałem myśli krążył po peronie kolejowym, kupił bilet, a gdy pociąg nadszedł, nie wsiadł do niego, ale dalej chodził jak błędny.

Z pobliskiego kościoła odezwał się donośny dźwięk dzwonów.

— Acha, to na pasterkę dzwonią — rzekł i przystanął na chwilę, jakby się zastanawiał. Poczem oddał kufereczek odźwiernemu a sam skierował swe kroki ku kościołowi.

W kościele pełno już było ludzi.

Ksiądz wyszedł z Mszą św. Pasterską. Z tysiąca piersi wypłynęła pieśń: »Bóg się rodzi! moc truchleje!«... i szła do stóp Bożej Dzieciny.

Roliński stał wśród tłumów i szukał wzrokiem swej ulubionej Jagusi. Szukał jej daleko a ona była tak blisko niego, bo zaledwie o parę kroków klęczała rozmodlona obok swej matki. A gdy ją zobaczył tak modlącą się i taką drogą, zapomniał o świecie całym, niesłyszał kolęd wesołych a tylko żył myślą o niej i w nią się wpatrywał.

A pieśni z ust ludu płynęły coraz nowe, coraz inne.

— O nieboraku kochany! — szeptały kobiety — Paniątko serdeczne, na słomie i w stajni się urodziło! Taki król i w takiej poniewirce!...

Msza się skończyła. Fale ludu poczęły wypływać z kościoła. Podniosły się z klęczek Jagusia z matką i poczęły wychodzić z innemi. Wyprzedził je Roliński i oczekiwał u drzwi świątyni, a gdy wyszły, podał rękę Jagusinej matce i grzecznie ją przywitał. Ujął potem w swe dłonie rączkę Jagusi i w ciepłym uścisku dłużej przytrzymał. Zawstydzone dziewczę chciało mu ją wyrwać, ale ten jej nie puszczał.

— Jaguś! — szepnął cicho, ale tak miękko, że dziewczyna drgnęła — chciałabyś ty mnie?

Dziewczyna spojrzała na niego rozpalonemi oczyma i chciała odejść, bo jej wstyd było słyszeć słowa te przy matce. Wprawdzie już nieraz dawniej Roliński wspominał jej o swej miłości, ale brała to za zabawkę, za żart wobec biednej dziewczyny. Dziś powiedział jej przy matce i nie tak jak kiedyindziej, ale prawie otwarcie zaproponował małżeństwo. Oburzyło ją to, ale i ucieszyło poczęści.

— Chciałabyś ty mnie? — zapytał Roliński znowu.

— Jezus, Marya! Co też pan mówi! — odpowiedziała z jakiemś przerażeniem w głosie.

— Mówię prawdę, jeśli mnie zechcesz, to będziesz moją żoną, zaraz w zapusty damy na zapowiedzi.

Łzami zaszły oczy biednej Jagusi. Popatrzyła na matkę, która też ukradkiem łzy ocierała. Popatrzyła i rzekła pewnym i dobitnym głosem:

— Tak! chcę i będę pana kochającą żoną.

Pochylił się Roliński do rąk Jagusinych, ucałował też spracowane ręce jej matki i we trójkę podążyli ku domowi.

Przez drogę szeptał Roliński do ucha swej ubóstwianej:

— Wszystkiem mi będziesz na świecie — pociechą i radością, bom nie młodzik żaden, który

dziś pokocha a jutro zapomina. Szczęściem mi będziesz i weselem a za szczęście otrzymane szczęście i tobie zgotuję.

Wesołe miał święta tego roku Roliński i od świąt szczęście zawitało do niego. W zapusty odbył się ślub jego z Jagusią, która nigdy nie żałowała tego, że oddała rękę Stanisławowi, bo ten zawsze otaczał ją prawdziwą miłością.

Stanisł. Nikt.



Wigilia sieroty.

Był to dzień wigilijny. Śnieg sypał grubemi płatami na ziemię i pokrywał je swoim łabędzim puchem. Wiatr zimny świszczał w tę i w ową stronę, wygrywając jakieś dzikie szatańskie melodye. Pomimo tego drogą wiodącą do miasta Bochni spieszyło sporo ludzi, na rozmaite zakupna i sprawunki świąteczne, szczególnie po zieloną sosenkę, by dziatkom swoim sprawić radość i wesele, by i one wiedziały, że się narodził maleńki Jezus w stajni, w Betleem. Na zakręcie jednej z więcej zacisznych ulic miasta, stała dziewczynka bardzo skromnie ubrana. Ciało jej kryła poszarpana sukienka, krótka, poniżej kolan, na głowie miała biedaczka czerwoną wypłowiałą chusteczkę, przez którą wiatr przewiewał, jak przez siatkę. Na nogach miała trzewiki, z których wychodziły jej strzępy onucek. Stała tak sierotka, drżąc z zimna jak liść osiczyny, patrząc, jak matki spieszyły ze swojemi córeczkami ubranemi w ciepłe chusteczki, żakieciki i sukienki, a ona biedaczka, bez ojca i matki; niema ją kto przygarnąć do ciepłego łona, niema jej kto nakarmić, ani ubrać. Dzisiaj bowiem trzeci raz wiatr śniegiem pomiata, od czasu, kiedy ją rodzice odumarli i pozostawili na los opatrzności. — »Biedna jam mój Boże! wszyscy mię opuścili! O matko moja, ojcze mój! wstańcie z grobu i zabierzcie biedną Marysię ze sobą, niech nie cierpi zimna i głodu!« Po tych cichych słowach Marysi potoczyły się jej po twarzy sinej od zimna dwie duże łzy, łzy to żalu i niedoli były... O! bo cóż dzieje się w sercu takiej biednej dzieciny, która bez dachu rodzinnego, bez opieki o głodzie i chłodzie ginąć musi gdzieś zdala od dobrych ludzi.

Zapadł już wieczór, a mróz z podwójną siłą począł ściskać ziemię i na oknach chat rysować cudne wzory kwiatów śnieżnych... Niebo wypogodziło się i usiane zostało milionami gwiazd. Także i w oknach poczęły pomału błyskać światełka lamp i świeczek płonących na drzewku sosenki. Gdzieniegdzie rozlegały się już miłe tony piosenki: »Bóg się rodzi«, a przy stołach zasiadały rodziny, łamiąc się opłatkiem, gdy tymczasem nasza biedna Marysia stała pod jednym z okien, przypatrując się, jak w ciepłej izdebce siedziały dziatki koło stołu wraz z rodzicami, zajadając smaczne potrawy, a ona biedaczka, połykając ślinę, marzła na polu.

Usiadła wreszcie pod oknem — zrobiło się jej tak miło ciepło i sen wkońcu zmorzył ją i usnęła... Śpi i widzi, jak anieli spływają na ziemię do niej i utulają ją swojemi ślicznemi skrzydłami... Widzi, jak maleńki Jezus leży w żłóbku a obok niego słychać miłe symfonie tonów... Śpi biedna sierotka... Usnęła... by się więcej nie zbudzić, bowiem duszę jej zabrali anieli, tam gdzie króluje Ten, który się narodził w stajni, Król nad króle — Pan nad pany.

Robert Rydz.



Noc Bożego Narodzenia.

*Cicho spokojnie w betleemskiej ziemi.
W chmurkach zakryte gwiazdy marzą sennie.
Lecz jedna gwiazdka świeci między niemi.
Dziwnie uroczo i dziwnie wiosennie.*

*Gdyby świat widział tej gwiazdy świtania,
I za nią spiesząc, snu łoże porzucił,
Gdyby zrozumiał, co szopka zasłania,
Drżącyby piersią hymn Bogu zanucił.*

*Bo w szopie skryta tajemnica wielka,
W szopie cud cudów: leży Bóg Dziecina,
I święta Panna Boża Rodzicielka,
Z zdumieniem wita swego Boga-Syna.*

*Któremu gwiazdy ścielą się pod nogi,
Którego nieba ogarnąć nie mogą.
Tego kamienny mieści żłób ubogi,
Ten śpi na sianie ostrem jako głogi,*

*Przy żłobie klęczy Najświętsza Dziewica,
Żar duszy błyszczy w płonącym rumieńcu,
To drży, to kocha, Bogiem się zachwyca,
Obok anieli i pasterze w wieńcu...*

*Cóż Cię do tego przywiodło, o Panie!
Żeś rzucił Ojca Przedwiecznego łono,
Żeś zszedł na ziemię, na ostre posłanie,
Żeś nad Anioły przeniósł ludzkie grono?*

*Miłość to, miłość ten cud uczyniła,
Miłość Twa wielka, dziwna, niepojęta,
Miłość Cię ku nam tak bardzo zniżyła,
Z chórów Anielskich tu między bydlęta.*

*I, cóż jest człowiek, że nań pomnisz, Panie?
Żeś Twoje serce do niego przyłożył,
Że gdy on ściągnął Twój gniew i karanie,
Zstąpiłeś z nieba, byś nam je otworzył?*

*Tyś się tak zniżył, byśmy się podnieśli,
Tyś tak ubogim, by nam skarbić łaski,
Ty cierpisz, byśmy za Twym śladem przeszli
Tam, gdzie jaśnieją bóstwa Twego blaski.*

*Czemuż Ty jednak, o Panie, łzy ronisz,
Płacząc, nawiedzasz nasze ziemskie progi,
Czy smutną myślą po tych miejscach gonisz,
Gdzie Cię czekają: Krzyż, ciernie i głogi?*

*Nie na krzyż ciężki, ni przyszłe cierpienia
Temi się Panie tak zalewasz łzami,
Ty płaczesz, byśmy zaszli do zbawienia,
Te łzy wyciska Ci litość nad nami.*

*Więc kocham Ciebie, Jezu mój jedyny,
A ile gwiazdek na niebie jaśnieje,
I jakim ogniem płaczą Serafiny,
Taką miłością niech i ja goreję.*

Michał Więcław.

BOŻE DRZEWKO!

Wchodzą dziatki z piękną śpiewką,
Gdzie w pokoju Boże Drzewko,
Stoi złotem przystrojone
I świeczkami oświecone.

Ojciec wszystkim klęknąć każe,
Na Jezusa patrzą twarze,
„Ojcze"... „Zdrowaś"... odmawiają,
Dziecię Boże wychwalają.

Zgasły świeczki — jedna świeci,
Niezadługo także zginie,
A z dziateczek piersi płynie:
„Boże Ojcze, Twoje dzieci"...

Józef Kobylański.

Zastanów się, Hanka!

Hen, wysoko na niebie, iskrzyły się gwiazdy i z radością spoglądały na ziemię, pełną tej nocy szczęścia i wesela. A noc była widna i cicha, mróz tylko brał coraz silniejszy, aż śnieg skrzypiał pod nogami. Ponad strzechami dym z kominów równo płynął ku górze, w oknach błyszczały światła, po chatach gwarzono i zawodzono kolędy. Cała wieś brzmiała od głosów ludzkich i śpiewu, a psy u wrót poszczekiwały, nawołując się wzajemnie...

U starej Marcychy, w chacie co stała tuż pod lasem na samym końcu wioski, zapadła po odśpiewaniu pierwszej kolędy chwilowa cisza. Nie do śpiewu było jakoś kobietom, starej Marcysze i córce jej Hance, a siwy dziad podróżny, siedzący na przypiecku, do kolędowania nie przynaglał. Oprócz tych trojga, nikogo zresztą w izbie nie było, tylko pies Burek, co wpuszczony od święta do chaty, leżał pode drzwiami, a podjadłszy, ogonem wymachiwał.



Dziad był gościem przypadkowym, bo zaszedłszy nad wieczorem, sam się na wigilją zaprosił; kobiety zaś rade go gościły, raz że w swej samotności mile twarz każdą widziały, a powtóre, że stary Jakób, (tak się ów dziad nazywał), był wszędzie, gdzie tylko zaszedł, gościem pożądanym.

Na dziesięć mil wokoło, nie było dziecka, któreby go nie znało i na odwrót, on znał każdego w swej okolicy. Wiedział też zawsze, co i jak do kogo przemówić, wiedział co komu dolega, a co go cieszy, myśli niemal ludzkie zgadywał. Znał się na wszystkiem, różne uparte choroby leczyć umiał, za dobre słowo i kawałek chleba każdemu chętnie — byle w rzeczy uczciwej, pomagał. Lubieli go też i szanowali wszyscy, a jeśli ktoś miał wielkie zmartwienie lub kłopot, z którym sobie poradzić nie umiał, to o trzy mile po starego Jakóba posyłał, on na wszystko w głowie swej sposób znalazł.

Ten to dziad siedział po wieczerzy w chacie Marcychy na przypiecku i ukończywszy kolędę, z pod oka to na Hankę, to w szyby okienka spoglądał, medytując.

Marcycha wstała i zakrzątnęła się koło statków, Hanka zaś siedziała nieruchoma na ławie, oczy w ziemię wlepiwszy. Korciło ją o jedną rzecz zapytać dziada, lecz wstyd ją trzymał za gardło. Co prawda, od dwóch niedziel wstydziła się komukolwiek w oczy spojrzeć, bo sama z siebie nie była kontenta. Od czasu jak męża i gospodarstwo rzuciwszy, wróciła do matki, sumienie nie dawało jej spokoju. Czuła sama, że postąpiła wbrew rozumowi i sercu, bo rozum porzucać nie kazał, nie było o co, a serce, aż piszczało za Bartkiem. Ale w naturze swej miała upartość, Bartek zaś, choć chłop dobry, że do rany przyłożyć, porywczy był trochę i do sprzeczki pochopny. Szukał jej — gdy był zły czego — bez przyczyny, ale gdy pierwsza złość minęła, sam tego żałował. Hanka znowu była ambitna i o byle co burczyć na się nie dała. Stało się więc, że gdy w trzy miesiące po ślubie Bartek wyłajał ją bez powodu, a w tydzień później to samo powtórzył, rzekła do niego:

— Słuchaj Bartek, ja się poniewierać nie pozwolę. Jeżeli jeszcze raz na mnie bez słuszności napadniesz, to jak Bóg na niebie, ucieknę do matki i więcej do ciebie nie wrócę; ty wiesz, że, co ja powiem, dotrzymam...

Ale Bartek śmiał się tylko, nie wierząc. Ten śmiech jego podjudził jeszcze Hankę, więc gdy w czas jakiś dla błahego powodu, a właściwie dla tego, że zły wrócił do domu, ofuknął się na nią i krzyknął, ona, słowa mu nie rzekłszy, wyszła, jak była, z chaty i do matki na drugą wieś poleciała. W godzinę po niej, przyjechał wyrostek z końmi przez męża wysłany, lecz ona go odesłała, powiedziawszy, że wracać nie myśli. W dwa dni przyjechał znowu ten sam wyrostek i znowu z niczem odjechał. Wtedy Bartek się też zawziął, jako że nie czuł zbyt wielkiego ze swej strony przewinienia. Źle mu było samemu, bo nijak chłopu bez baby, ale już więcej po Hankę nie posyłał. Ona zaś trwała w swej upartości, choć ukradkiem przed matką po kątach płakała i chmurno jak noc chodziła, bo i jakże babie bez chłopa!.. Minęło tak dwa tygodnie, nadeszły święta, weselił się cały naród chrześcjański, tylko w chacie Marcychy nie było wesoło...

Z początku, gdy Hanka wchodzącego Jakóba ujrzała, zatrzepotało w niej serce, bo pomyślała, że jej może jakąś wiadomość od męża przynosi. Wszakże był człek mądry, wiedział z pewnością co zaszło, bo o czem ludzie jeszcze nie wiedzieli, on zawsze naprzód zbadał już do gruntu, a przytem, nie pierwszyzna mu to była spory między małżeństwem, ale i między obcymi łagodzić.

Lecz stary Jakób, pary z gęby o Bartku nie puścił, choć bez wieczór o różnych rzeczach prawił; wieczerzę zjadł, Bogu i gospodyni za nią podziękował, kolędę ładną zaśpiewał, a potem, na przypiecku siadł i milczał.

Hanka, wstrzymać się nie mogąc, już, już na języku miała, aby go o Kozią Wulkę i męża zapytać, gdy wtem, szyba w okienku dziwnie zabrzękła, jakby kto po niej palcem posunął.

Spojrzeli się wszyscy, a Marcycha, że lękliwa nieco była, »Wszelki duch!«... zakrzykła.

— To nic — uspokoił dziad kobiety — pewnikiem ptak jakiś nocny przeleciał i skrzydłem trącił... Niema na co zważać!... Ot — dodał po chwili — jeżeli chcecie, to zanim na pasterkę zadzwonią, bajkę wam jaką opowiem, bo do kolędy moje gardło stare już niezdatne, a i wam jakoś dziś nie do śpiewu...

Stary Jakób słynął ze swoich bajek, które nader misternie wywodzić umiał, więc Marcycha z ochotą się zgodziła i słuchać usiadła, a Hanka, choć jej co innego było na myśli, przez grzeczność też udała, że słucha.

Dziad odchrząknął, brodę pogładził, ku okienku raz jeszcze spojrzał i tak zaczął:

— Dawno już temu, dawno, jeszcze jak Pan Jezus chodził po świecie, żyła we wsi Suchodołach jedna młoda kobieta, której na imię było Hanka...

— Hanka?

— Tak jest, miała właśnie to samo co i wy imię... Była to niezła kobiecina. I pobożna i uczciwa, jedną tylko miała przywarę, była nad miarę uparta, a stąd z mężem, również niezłym człowiekiem tylko trochę porywczym, do zgody nigdy przyjść nie mogła..

Hanka pilnie patrzeć poczęła na dziada, nie wiedząc, czy naprawdę bajkę opowiada, czy też o niej samej mówi.

Ale dziad tak prawił dalej:

— Idzie sobie tedy raz Pan Jezus miłosierny drogą bez pole i widzi, naprzeciw niego bieży kobieta, młoda, urodziwa, ale z włosem rozwianym i gniewem w oczach. Pan Jezus spojrzy na nią i skinął, aby stanęła. »Dokąd to tak lecisz, Hanka? — pyta ją potem, bo była to właśnie ta kobieta uparta, o której mówiłem. »Uciekam od męża« odpowie ona Panu Jezusowi, »nie mogę z nim żyć dłużej, bo zły i krzyczy na mnie bez przyczyny«... »Mimo to źle robisz!« mówi Pan Jezus »wszak ślubowałaś przecie przed ołtarzem mężowi«... »A ślubowałam«... »Więc zastanów się Hanka, przysięgę chcesz złamać?« A ona na to: »Bo wytrzymać nie mogę«... Spojrzy znowu na nią Pan Jezus, spokojnie, bez gniewu, jako pasterz na owieczkę zbłąkaną, a potem rzecze: »Pójdź za mną Hanka, coś ci pokażę, czegoś jeszcze nie widziała«...

— A taż Hanka nie poznała Pana Jezusa, że tak śmiało z Nim rozmawiała? — przerwała bajkę Marcycha.

— Nie poznała — odpowiedział dziad — bo gniew ją oślepił, a gniewem oślepieni nikogo ani niczego, nawet prawdy, jako słonko jasnej nie poznają... Poszła tedy owa Hanka za Panem Jezusem... Szli przez pola, przez łąki, przez dąbrowy, aż zaszli hen, do wielkiej bramy żelaznej, na siedm zamków zamkniętej. Ale Pan Jezus skinął tylko ręką, brama się sama otwarła i weszli przez nią niby do piwnicy jakiejś pod ziemią, ale tak wielkiej, że jej końca oczy ludzkie dojrzeć nie mogły. »Popatrz-że teraz w górę, Hanka,« — rzecze Pan Jezus, gdy stanęli na dole — »popatrz i mów co widzisz«... Hanka spojrzy, aż tu nad nią, same korzenie ze sklepienia owej piwnicy wystają... I duże, i małe, i krzywe, i proste, i robaczliwe, i zdrowe, i pojedyńcze, i po dwa razem ze sobą splątane... »Cóż widzisz?« pyta Pan Jezus. »A cóż, same korzenie od drzew, które zapewne tam w górze gdzieś rosną« — odpowie Hanka. »A czy wiesz ty, co te korzenie oznaczają?« »Nie, nie wiem«... »Widzisz, to są korzenie ludzkiego życia. Ile ludzi na świecie, tyle tutaj korzeni, a jak kto żyje na świecie, tak jego korzeń tutaj wygląda«... »A cóż znaczy, że jedne korzenie rosną sobie pojedyńczo, swobodne, a drugie parami są splątane ze sobą?«... »To tak, jak i na ziemi... Parobek, albo dziewka, to życie pojedyńcze, a pobierze się z nich dwoje, i to korzenie się ich tu splątają, bo to już życie podwójne, a wspólne do śmierci... Na ziemi, mogą się ludzie rozejść z sobą, lecz tu korzenie ich pozostają z sobą, dalej związane, bo gdy Pan Bóg uświęcił małżeństwo, to nie na to, aby je ludzie samowolnie zrywali! A złączą się dwie dusze ze sobą, to już muszą do siebie należeć na wieki, bo jedna za drugą bierze odpowiedzialność przed Bogiem. Zrobi mąż żonie krzywdę, to ona przecierpi, a on odpokutuje; zrobi ona jemu krzywdę, to on przecierpi, a ona odpokutuje, bo ani smutku, ani wesela rozdzielić już nie mogą, jako i te korzenie śmierć chyba jedna rozplącze... I popatrz tylko Hanka: jeden z nich napsuty, a już i drugi gnić zaczyna... do jednego dobrał się robaczek i toczy go, a na drugim ślady z tego toczenia zostają... Popatrz na to, i zastanów się, Hanka!«... Tak mówił Pan Jezus, a Hanka patrzy na korzenie, patrzy, zastanawia się, wreszcie rzecze...

Gwałtowne szczekanie Burka nie dało dokończyć dziadowi. Pies rzucił się do drzwi i warczał, jakby za niemi obcego zwietrzył.

Zerwała się Marcycha z ławy przestraszona, lecz Hanka, co z ogniem na twarzy słów dziada słuchała, nie uważała na psa nawet.

— Mówcie dziadu, co owa Hanka rzekła Panu Jezusowi?

— A wybyście co rzekli? — zapytał dziad zamiast odpowiedzi. — Zastanów się Hanka!...

Patrzył na nią z pod oka, a równocześnie ku drzwiom zezował.

Hanka podeszła ku niemu.

— Powiedzcie Jakóbie — rzekła — wszak to Bartek przysłał was do mnie z tą bajką?

— A gdyby tak, to co?... — odparł dziad.

Hanka oczy spuściła, niepewna, i milczała...

Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i chłop młody, dorodny stanął na progu.

— Ej, Hanka! — zawołał wesoło — czyż cię jeszcze przekora nie opuściła? Ja od godziny to pod oknem, to pod drzwiami wyczekuję, dziad mówi jak z książki, a ty się jeszcze namyślasz?... Ej Hanka, toć związaniśmy do śmierci, jak te korzenie, po co ma nas złość jak robak toczyć!... Dyć dziś wigilia, święto takie, a myśmy się i opłatkiem nawet z sobą nie przełamali... Ej Hanka, dosyć tego!...

I śmiejąc się, wyciągnął do niej ramiona, a ona przypadła mu zaraz do piersi i szlochać poczęła.

— Już cię więcej nie porzucę Bartku, nigdy już nie porzucę! — zawołała potem, łzy ocierając. — Gdy jedno za drugiego odpowiada przed Bogiem, to i ścierpieć czasem trzeba coś razem, jak... jak te korzenie Bartku!...

W tejże chwili, we wsi na pasterkę zadzwoniono, więc stary Jakób ochoczo porwał się z przypiecka i zakrzyknął aż szyby w oknie zadźwięczały:

— Ot tak to, rozumiem!... Hej kolęda, kolęda!

Izydor Kuncewicz.



GLORYA!

Glorya! Glorya!
Wesoła nowina,
Dziewica Marya,
Powiła nam Syna
Bożego.

Ubodzy pasterze
Z muzyką, pieśniami
Składają w ofierze
Hołd serca z darami
Dziecinie.

Przez niebios lazury
Nad Judzką krainą,
Anielskie brzmią chóry
Niebiańską nowiną
Ludzkości.

Za gwiazdą wspaniałą
Przybywa Trzech Króli
Z darami i chwałą
Dla Boga, Matuli,
Dziewicy.

Glorya! Glorya!
Anielskie gra pienie,
Powiła Marya
Ludzkości zbawienie,
Glorya!

Jantek z Bugaja.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

OPOWIADANIE PIĄTE.

Opowiada Jan Jeniczanek, zwany także markizem Don Diego Cantalacillo Fontiveras.

I.

Zamierzam tutaj na żądanie pana Kazimierza Kosy skreślić jeden z najciekawszych ustępów mego życia. W roku przeszłym, jako intendent generalny wojsk trzeciej dywizyi Jego Cesarsko-Królewsko-Apostolskiej Mości, stanąłem na chwilę ze sztabem głównym w Stopnicy, nędznej mieścinie polskiej. Niedługo tam jednak staliśmy. Arcyksiążę Ferdynand musiał się cofać z Warszawy, a my, stanowiąc rezerwę, także mieliśmy się cofać jako przednia straż całej armii. Powoli jednak rozprzężenie wkradło się w nasze szeregi, nieprzyjaciel począł nam dokuczać.

Ponieważ potrzebowałem bardzo pieniędzy, widząc, że sprawa austryacka chyli się do upadku, oraz przez wrodzoną memu szlachetnemu charakterowi sympatyę ku uciśnionym, postanowiłem dopomódz do rozprzężenia wojsk austryackich i zabrawszy z kasy dywizyjnej 150 tysięcy guldenów, pewnej pięknej nocy na wózku, w jednego konia zaprzężonym, wymknąłem się ze Stopnicy, zdoławszy wprzód zaopatrzyć się w cywilne suknie, w które się przebrałem.

Zamiarem moim było przedostać się do szeregów nieprzyjacielskich, przynieść im ten niewielki wprawdzie zasiłek, ale zawsze mający swą wagę. — Fakt ten, tak szlachetny i piękny w zasadzie, usiłowano potępić i okrzyczano mnie za złodzieja. Czyż żołnierz, zabijający swego wroga, jest mordercą? — A ja, Czech rodem, Jan Jeniczanek, byłem wrogiem Austryaków, miałem więc prawo wojować z nimi każdą bronią.



...wypadły z wąwozu trzy dziewczyny.

Trzeba jednak nieszczęścia, iż, nie ujechawszy i dwóch mil nawet po najfatalniejszych drogach polskich, śród roztopów wiosennych i popsucia gościńców przez ciągłe przechody wojsk, pękła oś u mojego wózka i w żaden sposób dalej jechać nie mogłem. Zauważywszy więc w oddali, nieco w bok drogi wielki jakiś dom, w którym się świeciło, postanowiłem tam udać się i żądać gościnności, a tymczasem mój wózek może udałoby się naprawić.

W domu owym zastałem tylko samego pana, który mieszkał samotnie, odesławszy na czas wojny rodzinę swoją do Krakowa. Starzec ten nosił tytuł regimentarza. Przyjął mię bardzo gościnnie. Oczywiście musiałem dać mu jakiekolwiek tłómaczenie mego niespodziewanego zjawienia się. Tutaj przyszła mi na pomoc moja bujna wyobraźnia, ów cudowny dar natury, nie wszystkim jednakowo udzielony. — Zarekomendowałem się jako Hiszpan rodem, markiz Don Diego Cantalacillo Fontiweras, podróżujący po świecie i złapany przez Austryaków, od których uciekłem. Prosiłem go więc o ukrycie mnie.

Regimentarz, z iście polską gościnnością, oddał siebie i dom swój cały na me rozkazy. Tym sposobem osiadłem w Grzymale, przedłużając mój pobyt z bardzo prostej przyczyny, bo niebezpieczeństwa na drogach w czasach wojennych. Na poparcie tego oznajmiłem starcowi, że posiadam przy sobie znaczną sumę, jak na teraz, stanowiącą jedyny mój majątek.

Tak przepędziłem kilka dni. Regimentarz był to starzec gościnny, znudzony przymusową samotnością, kontent więc był z mego pobytu i gdym mu parę razy, jedynie dla formalności, bo rzeczywiście zrobić tego nie myślałem nawet, gdym wspomniał mu, że trzeba mi Grzymałę opuścić, że tu wreszcie nie jest zbyt bezpiecznie dla mnie, to mówił:

— Ani mi gadaj o tem, markizie, po kiego licha masz się włóczyć teraz, w tak nieosobliwym momencie, i do tego jeszcze z dużym groszem. A już o bezpieczeństwo się nie bój, nie dam cię ja wziąć tym psom rakuzkim, jakem szlachcic, mociumdobrodzieju!

Siedziałem więc, zadowolony z mego pobytu, powoli uspokajając się, tem więcej, że przez tydzień blisko, ani jednego żołnierza austryackiego nie widziałem w Grzymale. Ale człowiek nigdy używać nie może zupełnego pokoju i szczęścia. Pewnego pięknego dnia, jakoś w tydzień po moim przyjeździe do Grzymały, wyszedłem z regimentarzem rano na przechadzkę. Wyszliśmy na drogę, prowadzącą do wsi. Droga ta, wysadzona wielkiemi lipami, zakręcając się daleko za zamkiem pod kątem prostym, wchodziła w wąwóz nie duży i nie głęboki, ale gęsto po obu stronach obrośnięty krzakami głogu, dzikich róż, berberysu i jałowca.

Ledwieśmy się zbliżyli do tego wąwozu, gdy nagle rozległ się rozpaczliwy krzyk niewieści i zaraz też wypadły z wąwozu trzy przerażone dziewczyny wiejskie, a za niemi konno trzech uzbrojonych pandurów, którzy, jak wiadomo, tworzyli przy armii austryackiej w wojnie zeszłorocznej, rodzaj lekkiej jazdy. Hultaje ci, w oczach naszych, dopadli jednę z dziewcząt i usiłowali porwać ją. Scena była bardzo dramatyczna, acz dla mnie arcyniebezpieczna, tem więcej, że w jednym z pandurów poznałem sierżanta, z którym wielekroć miałem stosunki i który znał mnie.

Pierwszą więc myślą moją było uskoczyć w bok i schować się w gęste krzaki, rosnące nad wąwozem. Ale regimentarz, stary konfederat, rozgniewany tą napaścią na swoje poddanki, żwawo posunął się naprzód i kijem, który trzymał w ręku, uderzył silnie tego z pandurów, który szamotał się z dziewczyną. Wówczas dziki ten i okrutny żołnierz dobył szabli i zamierzył się na regimentarza.

W tej chwili, nie namyślając się wiele, tem bardziej, że sprawa ta mogła mieć złe następstwa dla mnie, dobyłem dwururnego pistoletu, który zawsze nosiłem przy sobie, zmierzyłem — strzał padł a z nim zwalił się z konia zuchwały jeździec. Dwaj drudzy zrazu ogłupieli i zatrzymali się, nie wiedząc co czynić. Skorzystałem z tej chwili i drugim strzałem powaliłem arcyniebezpiecznego dla mnie sierżanta. Na ten widok trzeci zawrócił żwawo i bodąc konia ostrogami, znikł nam wkrótce z oczu.

Starzec, ocalony nie wiedział jak mi dziękować, przysięgając dozgonną wdzięczność itp. Co do mnie, przyjmowałem te wszystkie oświadczenia z miną człowieka poświęcającego się chętnie dla drugich, gdy tymczasem tutaj działałem jedynie w obronie własnego interesu, zagrożonego widokiem sierżanta.

Bądź co bądź, należało coś szybko i stanowczo postanowić w tem położeniu, które jakkolwiek oca-

liło nas od chwilowego niebezpieczeństwa, groziło nam jednak, a głównie mnie, szubienicą w niedalekiej przyszłości. Poradziłem więc regimentarzowi, aby, korzystając z braku świadków tej awantury, gdyż dwie dziewczyny przerażone uciekły zaraz z początku, ukryć rzecz całą, a w tym celu przedewszystkiem należało zakopać zwłoki pandurów. Regimentarz naturalnie zgodził się na to, bo nie było co innego robić i zawoławszy dwóch parobków, nakazał im wykopać dół wśród krzaków obrastających wąwóz i tam pochować trupów. Gdy to skończyli, tak do nich przemówił:

— Jak mi który parę z gęby puści o tem, co tu widzieliście i zrobili, jak mi Bóg miły, śmiercią to przypłaci.

Taką jest ta tajemnicza sprawa pandurów, o której tyle od niejakiego czasu mówiono w Grzymale, nie znając jej wcale. Nie tu jednak jej koniec. Należało się spodziewać, że pandur, który uciekł, doniesie o wszystkiem do Stopnicy, że lada chwila ujrzymy Austryaków. Na samą tę myśl drżałem. O wyjeździe z Grzymały nie można było nawet myśleć, gdyż wojska cofającego się arcyksięcia Ferdynanda stały już w Kielcach i pełno ich było na wszystkich drogach. Jedynem rozumnem wyjściem z tego przykrego położenia była cierpliwość i oczekiwanie. Regimentarz czuł dobrze, że sprawa ta bedzie miała złe następstwa, a nie wiedział, co czynić, ja zaś nie umiałem mu nic poradzić, bo wreszcie nie było tu żadnej rady. Czekaliśmy więc smutni i zrezygnowani.

Jakoż tegoż jeszcze dnia nad samym wieczorem zjawił się w Grzymale znany mi dobrze major Schnabs na czele kompanii piechoty i plutonu huzarów węgierskich, w towarzystwie owego pandura, który ocalał od rannej katastrofy. Co do mnie, wiedziony zachowawczym instynktem, ukryłem się na pierwszem piętrze, gdzie nikt nie mieszkał.

Rozpoczęło się śledztwo. Zwołani chłopi milczeli jak grób, regimentarz zaparł się wszystkiego, wkońcu, upoiwszy doskonałem winem Schnabsa, tak że go musiał pod studnią trzeźwić zimną wodą, oraz wsadziwszy mu w łapę parę tysięcy guldenów, szczęśliwie się ze wszystkiego wywinął. Schnabs nad rankiem wyniósł się ze swem wojskiem i sprawa cała zdawała się być ukończoną.

Nie tak jednakże było. Pandur trafił do jenerała korpusu i ten nakazał nowe śledztwo. Tym razem wybrał się do Grzymały sam jenerał dywizyi, hrabia Holm, właściwie nie w celu przeprowadzenia śledztwa, ale zatarcia całej sprawy, gdyż, jak to dobrze wiedziałem, o czem jednak nie mówiłem regimentarzowi, poznał był w Krakowie wnuczkę tego ostatniego, pannę Julię i chciał się z nią koniecznie ożenić. Szło mu więc o to, żeby regimentarza zasłonić od wszelkich nieprzyjemności i w tym celu, udając przed swą władzą gorliwość, sam się wybrał do Grzymały. Piekł dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Hrabia Holm gonił już wówczas resztkami swej znacznej fortuny i chciał się wyreperować bogatym ożenkiem. Wiedziałem o tem i to mnie ocaliło.

Tym razem hrabia Holm najechał nas niespodzianie na czele plutonu jazdy, gdyśmy siedzieli z regimentarzem przy obiedzie i dowiedziałem się o jego bytności w chwili, gdy wszedł do pokoju.

Holm był sam, zapewne w celu poprzedniego porozumienia się z regimentarzem, nim potem publiczne rozpocznie śledztwo. Wszedłszy, spostrzegł mnie; czułem, że blednę. Hrabia tymczasem zwróciwszy się do regimentarza, rzekł:

— Jestem hrabia Holm, jenerał dywizyi, przyjechałem do domu pana regimentarza w celu zbadania sprawy pandurów.

Regimentarz skłonił się i zawołał:

— Hrabia Holm, Holm... czekajno waćpan, coś ja znam to nazwisko, — aaa! moje wnuczki mi pisały o panu. Ano — to doskonale, mości dobrodzieju, żeś ty a nie inny przyjechał na śledztwo, siadajże, proszę.

— Umyślnie, panie regimentarzu, ja przyjechałem na śledztwo, gdyż obowiązkiem moim jest zasłonić od wszelkich nieprzyjemności dziada przyszłej mej żony. Ale, muszę tu załatwić mały interesik.

A obracając się do mnie, spytał podniesionym głosem:

— Waćpan co tu robisz?

Regimentarz spostrzegł grożące mi niebezpieczeństwo i posuwając się naprzód, stanął między mną a Holmem i rzekł poważnym, surowym tonem:

— Pod błogosławieństwem mojem zakazuję ci tknąć tego człowieka, to mój przyjaciel, a kto jemu źle uczyni, mnie źle uczynił!

Holm popatrzył na nas obu zdziwiony i z początku nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć. Skorzystałem z tej chwili i otwierając drzwi do sąsiedniego pokoju, skłoniłem się hrabiemu i rzekłem:

— Pan hrabia raczy tam przejść, mam mu ważne zrobić zeznanie na osobności.

Holm machinalnie przeszedł do drugiego pokoju a ja za nim. Zamknąwszy drzwi, rzekłem:

— Mości hrabio, chcesz mię wydać w ręce władzy?

— Tak, nędzniku!

— Bardzo pięknie, ale zwracam pańską uwagę, że wówczas będziesz uważany za wroga przez regimentarza, nie ożenisz się z panną Julią, a raczej z jej kolosalną fortuną, a nakoniec wraz z moją głową spadnie głowa regimentarza.

Holm, wysłuchawszy tego, siadł i spytał:

— Dlaczegoż to?

— Bo możesz być pewny, hrabio, że ja sprawy pandurów nie ukryję.

— Więc w istocie regimentarz ich zabił?

— W istocie, pochowani są koło drogi nad wąwozem...

Holm spuścił głowę i pogrążył się w myślach. Ja zaś prawiłem dalej, pewny swego zwycięztwa.

— Otóż, hrabio, wobec takich okoliczności ja ci zaproponuję bardzo ładne i zgrabne wyjście z tych komplikacyi. Nie przyaresztujesz mię, będę wolnym, a wzamian ja zobowiązuję się chodzić tutaj koło twych interesów.

— Ja sam potrafię koło nich chodzić.

— Tak, ale zawsze dobrze mieć przyjaciela w takich razach. Panna młoda, bogata, do tego Polka... a ty, hrabio, cesarsko królewski Austryak!... No, jak chcesz wreszcie, daję ci za moją wolność pannę i kilka milionów, zgoda?

Holm milczał. Wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, widocznie zamyślony, poczem szepnął:

— Słuchaj, Jeniczanek, nie przyaresztuję cię, ale pod dwoma warunkami.

— Gotów jestem je spełnić, życie ma dla mnie wiele jeszcze uroku.

— A więc, naprzód będziesz tu chodził koło mych interesów; powtóre, skradłeś z kasy wojskowej 150 tysięcy guldenów, oddaj mi tego połowę!...

Zbladłem, dotknął najważniejszej, najboleśniejszej dla mnie struny ten łotr. Ja dla zdobycia tej sumy ryzykowałem moją głowę, głowę, która przecież więcej była warta, niż wszystkie głowy Holmów od początku świata, a ten rozbójnik śmiał korzystać ze swego położenia i wydzierać mi połowę mej krwawej pracy.

Opierałem się temu jak mogłem, targowałem się, zalałem się nawet łzami, — wszystko napróżno. Musiałem przynieść pieniądze i oddać mu ich połowę. Skoro je odebrał i schował, uśmiechnął się i rzekł:

— Jeniczanek, teraz jesteśmy w zgodzie.

— W zgodzie, hrabio! muszę ci jednak zrobić uwagę, że zgoda ta dość drogo mię kosztuje.

— Oh! może żałujesz, możebyś wolał szubienicę?

— Dajmy temu pokój. Odtąd, panie hrabio, nie nazywam się Jeniczanek, ale markiz Don Diego Cantalacillo Fontiveras.

— Skądże, u dyabła, wyrwałeś takie szumne nazwisko?

— Z głowy — odrzekłem.

Na tem skończyła się nasza rozmowa Odtąd byłem spokojny zupełnie na zamku Grzymalskim.— Sprawę pandurów Holm załatwił jak najlepiej i wszystko skończyło się bardzo pomyślnie.

Ale ja poprzysiągłem zemstę temu nikczemnemu Holmowi. Ponieważ najdrażliwszą stroną Holma były pieniądze, dla których żenił się z Julcią, postanowiłem wydrzeć mu połowę tego posagu. Nie udało mi się, co prawda, dostać tej połowy, ale zeznaniem niniejszem niszczę dla Holma możność ożenienia się z panną Julią. I teraz ten nędznik, ten najnikczemniejszy z ludzi, ten łotr umrze w nędzy lub więzieniu.

Oto moja zemsta! Ja, Holmie, jestem człowiekiem bogatym, dzięki mej zręczności, bo tego, co ja posiadam, nikt mi już dziś nie wydrze, a ty jesteś nędzarzem. — Otom ci zapłacił za moje 75 tysięcy guldenów.

(Dokończenie nastąpi).



Na kolędę.

Hej bracia od roli, od pługa, od kosy
Cóż to za śpiew cudny? To anielskie głosy
Hen z nieba!

Bóg się nam narodził w stajence na sianie:
Witać go koniecznie slachcice, włościanie
Nam trzeba.

Hej! polskie wy chłopy, dalejże do szopy,
A w darze zanieście z waszych łanów snopy,
A dusze

Niech będą tak czyste bez brudu, bez plamki,
Jak białe sukmany i lniane płótnianki
Pastusze.

Hej! polscy szlachcice, zakaście kontusze,
Zanieście do szopy czyste polskie dusze
I proście;

Położcie tam w szopie Chrobrego kord stary,
Na Turku zdobyte pod Wiedniem sztandary
Zanoście.

Hej! dalej kapłani, wy ludu pasterze,
Biegnijcie do szopy a proście a szczerze
Dziecinę,

By wasze owieczki nie wpadły w pazury
Zaciekłego wilka, lecz poszły tam w góry
Krainę.

Hej! polski narodzie, przystępuj do szopy,
Do Bożej Dzieciny, uściskać Mu stopy
Dziecięce,

Dla biednej ojczyzny rozdartej w kawały,
Niech nam miłość, zgoda, przyświeca wiek cały
Jak słońce.

Piotr Lipowiak.



MACIEK BZDURA GADA:

Ze się ludzie o mnie dobijają, to dobijają, a jak nie wierzycie, to cytajcie list, com go wkiejsik tu dostoł:

Kochany Maćku!

Pisałeś w przedostatnim numerze »Roli«, że masz ochotę zgodzić się do służby do jakiego organisty, jako osoby duchownej. Otóż ja, ponieważ spodobała mi się Twoja uroda i wziętość u czytelników »Roli«, nabrałem ochoty, żeby Cię przyjąć na służbę. Lecz myślę sobie tak: Ciekawość, jak on się sprawował u swojego gospodarza? (pisze w »Roli«: ja sam podziękował za służbę, ale kto go tam wie?) Trzeba napisać do jego gazdy. Jak pomyślałem, tak uczyniłem i dziś otrzymuję następujące wyjaśnienie:

»Oddalam łod gód Maćka ze słuzby lo tego, bo mnie, a jesce wiency mojej stary, juz kością w garle stoi! Spać kce duzo, jeść jesce wiency, no a robić to ani hady go nagnać. Prowda ze tam mo coś oleju w łebie i do pisarki po gazetach sie bierze, no ale cóz mi z tego, kiej jak zacnie te swoje figle bazgrać, to pise, maże i znowu pise, nikomu tego nie pokaże a robota stoi. No a »Rola« jak w piątek przyńdzie, to jak przecytom jego pisanie, to do drugiego piątku coś mi po brzuchu chodzi, burczy a gotuje sie. W drugi piątek tak samo i rób tu, co kcesz!

»Ło tyj zaś pierzynie, co pisoł w »Roli«, to nie prowda, bo to tak było: Pośliśma roz z mojom starom na roraty, a tyn łutrapieniec bez tyn czas wpakowoł sie pod pierzyne na łózko mojej kobity i tak te pierzyne zapchlił i jesce gorzy zrobiuł, ze rety!... Przychodzimy z mojom po roratach a ta bestyja zamiast kuniom dać jeść, chrapi pod pierzynom ze jaz no! Nie dość ze go moja pogrzybacem wytrzepała, to i łon musiał dzieś do połednia pierzyne czyścić i trzepać.

»Pyto sie pon, cy Maciek moralny, pfuj! W kościele niby na książce czyto, a z pod książki łoczami zyrko, gdzie krasne chustki, a poza kościołym, to i mowy nima. Dowiaduje sie, ze pon łorganista dziywski chór prowadzi. No, no! szczęść Boże! — Bzdury tam ino trzeba, toby sie pon pociesył... A śpiywo szelma, jak słowik (co konie dusi). Rób se pon zresztom, jak kcesz, bierz tego darmozjada do służby lub niy, bo ja go juz nie kce!

Z powazaniem
Maćków gospodarz«.

No a ty Maćku co na to? Odpisz, co jeszcze więcej umiesz, to się może zdecyduję. U mnie musiałbyś kalikować, zaśpiewać za mnie, jak padnie, opłatki roznosić, ale na wilię być wstrzemięźliwym, żebyś mi nie zrobił, jak waszemu organiście zeszłego roku na pasterce, bo ja czapek na wyrzuceniu nie mam.

Wkońcu życzę Ci wesołych świą.

Życzliwy Ci
Organista z pod Kańczugi.

Z TYGODNIA.

Konsekracya księcia biskupa krakowskiego Adama Sapiehy odbyła się w dniu 17 b. m. w Rzymie z wielką uroczystością. Konsekracyi dokonał Ojciec św. Pius X. Z Krakowa przybył ks. biskup sufragan Nowak, kanonicy kapituły i deputacya Rady miejskiej.

Nowi kardynałowie. Na tajnem zebraniu kardynałów w Rzymie mianowano 18 nowych kardynałów. Liczba kardynałów znacznie zmalała w ostatnich czasach, tak, że wynosiła w końcu tylko 48. Obecnie zatem będzie ich 66. Najwięcej wśród nowych kardynałów jest Włochów i Hiszpanów, Polaka zaś niema tym razem wcale.

Wybór sejmowy z okręgu Gorlice-Jasło. Dnia 15 b. m. odbył się uzupełniający wybór do Sejmu posła z miast Gorlice-Jasło w miejsce ks. Pastora. W obu miastach oddano razem 698 głosów, z tego padło na Dra Germana 664. — Wybrany posłem Dr. German.

Sprawa Chełmszczyzny w Kole polskiem. W toczącej się obecnie sprawie oderwania ziemi chełmskiej i przyłączenia jej do gubernij cesarstwa rosyjskiego, zajęło poważne, patryotyczne i jedynie właściwe stanowisko Koło polskie. Wydało odezwę do społeczeństwa polskiego w Galicyi, w której podnosi, że oderwanie ziemi chełmskiej od Królestwa Polskiego godzi w nasze uczucia narodowe i historyczne. Ludność tej ziemi od wieków czuła się jednością z narodem i państwem polskiem. Obecnie ma być odcięta od swego macierzystego pnia, aby tem łatwiej przyszło zatrzeć w niej charakter polski i wyzuć ją z jej wiary. Przydzielenie Chełmszczyzny do cesarstwa rosyjskiego, to pozbawienie ludności polskiej możności nabywania swej ziemi, to zmiana praw spadkowych, a więc naruszenie prawa bezpieczeństwa, to zamknięcie polskich szkół prywatnych i wogóle przewrót we wszystkich stosunkach społecznych i gospodarczych. Koło polskie, aby nie pogarszać położenia naszych rodaków pod jarzmem rosyjskiem, zamiast bezskutecznej interpelacyi w Radzie państwa, zwraca się tylko do narodu z gorącą prośbą, aby zachował spokój i wiarę: spokój, który daje siłę; wiarę, która chroni przed zwątpieniem. Dla społeczeństwa niech będzie otuchą, dla wrogów przestrogą, że giną potęgi światowe, gdy ich fundamenta opierają się na przemocy, a nie na prawie moralnem.

Prześladowanie duchowieństwa katolickiego w Rosyi. Sąd okręgowy w Petersburgu skazał redaktora pisma katolickiego, wychodzącego w języku rosyjskim p. t. »Wiera i żiźń« ks. Około-Kułaka«, oskarżonego o bluźnierstwo, na zamknięcie w fortecy przez pół roku. Przestępstwa wymienionego w mniemaniu prześladujących kapłanów katolickich władz rosyjskich miał się ks. Około-Kułak dopuścić w jednym z artykułów umieszczonych w swem piśmie.

90 milionów na wojnę o Trypolis. Niebawem nastąpi ogłoszenie dekretu, mocą którego po dzień 31 grudnia przyznany zostanie drugi nadzwyczajny kredyt w kwocie 25 milionów na wojnę trypolitańską. Suma dana dotąd ministrom marynarki i wojny na cele wojenne na czas 94 dni tj. od końca września do 31 grudnia wynosi ogółem 90 milionów.

Wymiana jeńców wojennych. Dzienniki donoszą, że zaproponowano Turcyi wymianę jeńców wojennych. Liczba jeńców, znajdujących się w niewoli włoskiej wynosi 36 Turków i Arabów, u Turków zaś znacznie więcej, bo 150 Włochów.

KRONIKA.

(J. K.) **Wieczór listopadowy.** Ubiegłej niedzieli, 10 b. m., odbył się w Brodach, w sali Sokoła, wieczór ku czci bohaterów narodowych z roku 1831. Po podniosłem słowie wstępnem profesora tutejszego gimnazyum, nastąpiły piękne śpiewy i deklamacye patryotyczne, nakoniec zaś odegrano całkiem udatnie sztuczkę p. t.: »Za sztandarem«. I uczciła godnie Polonia miasta Brodów pamięć żołnierza polskiego, który idąc na walkę z myślą w sercu: »Za twą wolność Polsko droga!« bił zawsze trzykroć większego wroga, aż wkońcu, otoczon piekielną przemocą, upaść musiał, a upadł z okrzykiem: »Polsko, konam szczęśliwy, bo konam za twą wolność! Matko jedyna!«

Z numerem następnym kończy się prenumerata za rok bieżący; kto jej nie odnowi, numeru pierwszego z 1912 r. już nie otrzyma.

(J. F.) **Pomnik grunwaldzki w Wierzchosławicach.** W piątek, 8 grudnia, odbyło się uroczyste poświęcenie figury Matki Boskiej, ufundowanej przez członków gminy Wierzchosławice, na pamiątkę wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem. Po poświęceniu pomnika przez ks. Józefa Franczaka, proboszcza tutejszego, w przystępnych słowach przedstawił p. Dubiel, profesor z Tarnowa, historyę i znaczenie bitwy grunwaldzkiej, poczem 10 letnia Mania Golińska wygłosiła piękną deklamacyę. Wkońcu poseł Witos wygłosił stosowną mowę. Otaczała pomnik wkoło banderya konna, złożona ze 130 jeźdźców w strojach narodowych. Po odśpiewaniu kilku pieśni uczestnicy rozeszli się do domów.

Aby brać udział w losowaniu „Pogarków Szczęścia“, trzeba koniecznie nadesłać prenumeratę przed Nowym Rokiem.

(J. C.) **Poświęcenie szkoły w Nowej wsi.** Dnia 29 listopada odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły w Nowej wsi koło Czudca. Koszt wynosił 23 tysiące kor., z czego kraj pokrył 18 tysięcy kor. Na poświęcenie przybył p. starosta, inspektor szkolny ze Strzyżowa, czcigodny ks. proboszcz z Pstrągowy, państwo Uznańscy z Czudca i okoliczni nauczyciele, Rada gminna tutejszej gminy, bardzo wielu gospodarzy i gospodyń, jakoteż dziatwa szkolna. — Aktu poświęcenia dokonał czcigodny ks. Dziekan z Czudca w asystencyi ks. katechety. Po poświęceniu ks. Dziekan przemówił w gorących i serdecznych słowach do obecnych, podziękował przybyłym gościom za udział i wykazał doniosłość oświaty. Szkoła to skarb — mówił. — W szkole poznaje się, jak kochać Boga i bliźniego szanować, ze szkoły wychodzą dobrzy obywatele gminy i kraju, od szkoły zależy przyszłość naszej ojczyzny.

(M. Z.) **Plaga cyganów.** W tutejszych lasach, należących do p. Albiny Włodkowej z Okocima, przebywała już od dłuższego czasu banda cyganów i nie dała się wytropić. Banda ta była już od kilku lat postrachem okolicy, gdyż nie było jednej nocy, by nie okradli jakiego gospodarza lub sklepu. Kradli konie, świnie, cielęta, gęsi, drób oraz wszystko co pod rękę przyszło. Otóż w dniu 13 grudnia b. r. przybyli żandarmi z Majdanu i Bojanowa do gminy Ostrowy baranowskie i dowiedzieli się od robotników lasowych, że cygany obozują w lesie, więc przybrali kilku chłopów i leśniczego p. Ostapińskiego

i udali się około godziny 10 w nocy, gdy cygani już spali. Otoczyli obozy cygańskie i dzięki energii żandarmów ujęli ich, skuli na miejscu i zabrali cały tabor i wszystkie skradzione przedmioty, wraz z końmi i odstawili do sądu w Kolbuszowej. Może teraz nieco ludność odetchnie swobodniej.

(J. K.) **Niedoszły samobójca.** Kilka dni temu targnął się w Brodach na swoje życie pewien akademik, strzelając do siebie dwa razy. Strzały jednak nie przyniosły śmierci, lecz zraniły samobójcę dość ciężko, którego odwieziono zaraz do Lwowa do szpitala, gdzie jest nadzieja, że kulę uda się wyjąć i niedoszły samobójca żyć będzie. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Pochował cudzą żonę. Jednemu z kupców w Brodach, nazwiskiem Mościsker, zdarzył się niezwykły wypadek. Umieściwszy swoją umysłowo chorą żonę w Kulparkowie, po niejakim czasie otrzymał stamtąd wiadomość, że żona umarła. Zaraz wyjechał do Lwowa, z Kulparkowa przywiózł zwłoki do Brodów i pochował je, nie szczędząc grosza. Po odbytej żałobie zaczęto tłómaczyć mu, że, choć już starszy, powinien prędko ożenić się. Mościsker miał się już zaręczyć, gdy wtem, całkiem niespodzianie, dostał list od żony z Kulparkowa. Przerażony, udał się do zakładu kulparkowskiego i rzeczywiście znalazł tam swą żonę przy życiu; robiła mu wyrzuty, że tak długo nie pisał do niej. Pokazało się więc, że pochował cudzą żonę! Jak to być mogło? Otóż rzecz się podobno tak miała: W Kulparkowie była umieszczona kobieta z Mościsk i ta zmarła. Mościska — Mościsker, te nazwy pomieszały się i kupiec brodzki padł ofiarą pomyłki. Powtórny ożenek odwlókł się na długi może termin.

Zemsta kobiet. W węgierskiem mieście Keczkemet pewien rolnik, nazwiskiem Sarközi, prowadził ustawiczną wojnę ze swoją własną żoną. Była to wojna prawie że »trzydziestoletnia«, a rozliczne siniaki i zdrapania naskórka na ciele żony — stare, świeże i najświeższe — dosadnie świadczyły o silnej pięści pana męża. Wreszcie żona nie mogła znieść brutalności męża i pewnej nocy powiesiła się.



Na pogrzebie nieszczęśliwej zjawiły się wszystkie kobiety, znające nieboszczkę i już od samego początku zajęły wrogie wobec brutalnego męża stanowisko. Podczas ceremonii składania wieńców na trumnie, naraz opadły go wśród przeraźliwego pisku i zbiły na kwaśne jabłko wszelkiemi podręcznemi narzędziami. Dopiero policya uchroniła zmasakrowanego i pokrwawionego od niechybnej śmierci. Obrazek nasz przedstawia tę zemstę kobiet.

Pies policyjny odkrywa mordercę. W pewnej morawskiej miejscowości znaleziono przed niedawnym czasem za miastem pod lasem zwłoki mężczyzny. Zawiadomiona policya szukała zrazu bezskutecznie, dopiero przy pomocy psa policyjnego za parę dni na jarmarku, obok wozu podróżnego pies poznawszy mordercę, rzucił się na niego.



Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że mądre zwierzę nie pomyliło się. Zbrodni dokonał na zamożnym mieszczaninie dla rabunku bandyta zbiegły z Rosyi.

Pomysłowy oszust. Do niejakiego Wasyla Moskaluka, bogatego gospodarza w Mahali na Bukowinie, zgłosił się niedawno temu jakiś młody, z miejska ubrany jegomość i wszedłszy z Moskalukiem do drugiej izby i przedstawiwszy się jako arcyksiążę Rudolf, który prześladowany przez swych wrogów, zmuszony jest ukrywać się, poprosił go o nocleg i pożyczkę 100 kor., gdyż obecnie udaje się do cara w Rosyi, który jest jego krewnym i ma mu dopomódz do uzyskania tronu w Austryi. Ponieważ zaś pomiędzy ciemnym ludem bukowińskim istnieje głęboko zakorzeniona wiara, iż arcyksiążę Rudolf rzeczywiście żyje, chłop nietylko że oszustowi dał 100 kor. i przez całą noc czuwał przed drzwiami chaty, ażeby »arcyksięciu« nikt spoczynku nie zakłócił, lecz w dodatku odwiózł go jeszcze własnymi końmi do Nowosielicy, gdzie oszust pożegnawszy się z nim przed wsią i przyobiecawszy jeszcze raz pamiętać o nim, ulotnił się. Żandarmerya, dowiedziawszy się o całem zajściu, śledzi za pomysłowym »arcyksięciem«.

(F. K.) **Jubileusz Czytelni.** Dnia 8 grudnia obchodziła Czytelnia Ludowa w Cieszynie, na Śląsku austr., 50-letnią rocznicę swego istnienia. Pierwsza ta Czytelnia Ludowa, założona przed 50 laty, szerzy do dziś dnia oświatę wśród ludu przez wypożyczanie licznych a ładnych książek a także innymi sposobami.

(F. K.) **Germanizacya.** Jakieś towarzystwo niemieckie wyrobów glinianych w Prusiech kupiło fabrykę wyrobów glinianych w Gruszowie. I tak znów jedno przedsiębiorstwo Śląska przeszło w ręce pruskiego towarzystwa i dalej postępuje germanizacya na Śląsku austr.

(F. K.) **Runięcie muru.** W Morawskiej Ostrawie, na Śląsku austr., przy ulicy Kościelnej zawaliła się stara ściana pewnego domu i zniszczyła zupełnie kramik niejakiej Matuszewskiej, wyrządzając jej tym sposobem znaczną szkodę. Matuszewska dziwnym tylko zbiegiem okoliczności uniknęła strasznej śmierci.

(F. K.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Dnia 9 b.m. przy budowie polskiego gimnazyum w Orłowej, na Śląsku austr., spadł jeden robotnik z dachu podczas pokrywania dachówką. Nieszczęśliwy ten nie zabił się wprawdzie zaraz, ale leży w szpitalu w stanie beznadziejnym. Jak to człowiek nie wie, kiedy go Bóg powoła do siebie.

W numerze 1. z roku 1912 rozpoczynamy druk dwóch bardzo pięknych powieści p. t. „Berezyna" i „Rozbitki z balonu".

(F. K.) **Tajemniczy list.** Nieznany dotąd człowiek, nie wiadomo z jakiej przyczyny, wysłał do pewnego obywatela w Karwinie czy w Dąbrowy, na Śląsku austr., kartkę, której treść zamieszczam dosłownie, jak ją znalazłem w pewnej gazecie (»Gwiazdce Cieszyńskiej«): »Mili panowie, proszę was, abyście się domówili między sobą, a niechali umarłych odkopać, to uwidzicie, że każdy jest inaczy obrucony w trumnie i szaty ma na sobie potargane, jak się odkopie, to jego ciałem fszędzi poruszać, ale jeny hoć tymi, co już w grobie leżą 5 i 6 rokóf, co deli leżą ci już możne są nadobrze zgnici, ale po nogach i rękach i głowie poznamy, jeśli się też za jaki czas w grobie obudzili co nie ma downo w grobie tego trzeba postawić, a ruszać rękami fest i głową i nogami i przespoły, umarłym się ma nos zatkać, do gęby dać kąsek kołka a pot karkem pościskać a wodnić go po izbie, do karku wloć octu, a całe ciało fest nagnoć aż się kości rozgnieją, jedną ręką dać mu pot brodę a dwa palce od prawej ręki dać na cały język a fest go dołu przycisnąć i zaś ożyje«. — Autor się podpisał: »je stem z dalekich krain, uż żyję dawno«. Cały ten list świadczy jeszcze o ogromnej głupocie i trudno nawet uwierzyć, żeby się jeszcze tacy ludzie znaleźli.

Maciek Bzdura od Nowego Roku przenosi się na nową służbę, z której będzie gadał jeszcze weselej, a opowie niejedną rzecz, o której teraz milczał ze strachu przed gospodynią.

(F. K.) **Zaczadzeni.** Dnia 1 b. m. znaleziono przed południem w Cieszynie w pewnem mieszkaniu rzeźnika, niejakiego Jelenia, jego żonę i troje dzieci zupełnie nieprzytomnych. Zaszło tu, prawdopodobnie, zaczadzenie. Wszystkich przewieziono do szpitala, gdzie nazajutrz zmarło dziecko, a we wtorek, wśród wielkich cierpień, zmarł także Jeleń; żona i dwoje dzieci jeszcze żyją.

(F. K.) **Zły syn.** Niedaleko Orłowej, na Śląsku austr., pracował na pewnym szybie jeden z pod »czerwonego sztandaru«, który w nic nie wierzył. Te same zasady wszczepiał także w swego syna. Syn ten pobił się raz w gospodzie i w dowód miłości poczęstował towarzysza nożem. Za to oddano go do aresztu na kilka miesięcy, i tam rozmyślał on nad naukami, jakich mu udzielał ojciec. Po wyjściu z aresztu wdzięczny syn źgnął przy okazyi swego ojca nożem. Ciężko rannego odwieziono do szpitala, a syna wsadzono powtórnie do więzienia.

(F. K.) **Złodziejstwa cyganów.** Niedawno przez wieś Raj, na Śląsku austr., przeszła banda cyganów, z których sobie nikt nic nie robił. Wkrótce jednak przekonano się, jak trzeba być ostrożnym przed taką hałastrą, gdyż spostrzeżono, że cyganie popełnili nadzwyczaj wiele kradzieży.

(F. K.) **Pożar.** W piątek, dnia 1 b. m., wybuchł we Frysztacie, na Śląsku austr., wielki pożar. Płomienie zniszczyły razem pięć stodół z wszystkiemi plonami, a w dwie godziny potem zapaliła się jeszcze opodal stojąca jedna stodoła i także spłonęła. Mimo wysiłku straży pożarnych nie zdołano nic wyrwać płomieniom, bo wszystkie te stodoły były drewniane. Jest to już trzeci pożar w tem miasteczku. Ostatni został zbrodniczą jakąś ręką podłożony.

(F. K.) **Wypadek z nabojami.** Dnia 12 b. m. przywieziono do szpitala w Morawskiej Ostrawie, na Sląsku austr., chłopca poranionego od patronów. Chłopiec ten twierdził, że w nieobecności matki do pokoju przyszli dwaj nieznani mężczyźni i zażądali pieniędzy i chleba. Ale ponieważ on im tego nie dał, wydobyli z kieszeni patrony, pozapalali je i rzucili na chłopca. Właściwie było jednak zupełnie inaczej, bo chłopak próbował młotkiem patronów, te wybuchły i poraniły chłopca po rękach i głowie.

Aby „Rola" była coraz lepszą, zależy to od samych Czytelników. Niech każdy stara się zjednać choć jednego nowego prenumeratora.

(W. T.) **Skutki pijaństwa.** Na Węgrzech, we wsi Kwacany zabił się gospodarz 45-letni, Jan Jaworski. Powracając w nocy do domu, przechodził pijany przez rzekę po kładce zamarzniętej a wysokiej, spadł głową na kamienie i zabił się na miejscu. Takie to straszne skutki sprawia ten wieczny wróg ludzki alkohol.

(W. T.) **Śmierć w lesie.** Na Węgrzech, we wsi Maciasiowa parobek pewnego gospodarza spychał kawałki drzewa na opał w górzystych miejscowościach. Przez nieostrożność poślizgnął się na kamieniach, spadł ze znacznej wysokości i w godzinę później umarł.

Poświęcenie nauczycielki. W jednem z mniejszych miast Anglii zdarzył się niedawno wypadek, świadczący, do jakiego stopnia dobra, kochająca dzieci nauczycielka, może się dla nich poświęcić. — W pewnej szkole żeńskiej, skutkiem nieszczęśliwego wypadku, ośmioletniej dziewczynce groziła gangrena na plecach z powodu zakażenia krwi. Należało koniecznie dotkniętej chorobą płat ciała usunąć i na to miejsce nałożyć zdrowy.



Dowiedziawszy się o chorobie swej uczennicy nauczycielka jej, młoda jeszcze osoba, poświęciła się, by dziecię uratować. Zgodziła się na operacyę wycięcia na plecach potrzebnego kawałka ciała, którą też lekarze wykonali. Po nałożeniu zdrowej części dziewczynce — ta po pewnym czasie wyzdrowiała, dzięki dobrej i szlachetnej nauczycielce. Obrazek nasz przedstawia tę operacyę.

Zamordowanie proboszcza. W pobliżu miejscowości Neustia na Węgrzech znaleziono proboszcza Jana Komora nieżywego. Prawdopodobnie dokonano ohydnej zbrodni w celu rabunku.

Wypadek na lodzie. W zeszłym tygodniu wydarzył się w miasteczku Skokach (w W. Ks. Poznańskiem) straszny wypadek. Na słabym lodzie ślizgało się kilkunastu chłopców, z których pięciu w wieku lat 7 do 14 załamało się. Mimo szybkiej pomocy nie zdołano ich wyratować. Z pod lodu wydobyto już nieżywych. Wśród ofiar było: dwóch synów stróża, jeden majstra kołodziejskiego, jeden wdowy po rękodzielniku i jeden robotnika fabrycznego.

Starzy nasi przyjaciele niech nie zwłóczą z nadsyłaniem prenumeraty, bo gdyby jej przed Nowym Rokiem nie odnowili, numeru noworocznego by nie otrzymali.

Fatalny strzał. W miejscowości Bergen, w niemieckim kraju Turyngii, leśniczy Ebersfeld, wracając z rewizyi sągów leśnych do domu, spostrzegł na drzewie poruszające się gwałtownie gałęzie, jakby pod ciężarem większego ptaka. Sądząc, że ma do czynienia z pospolitym w tej okolicy głuszcem, złożył się i dał strzał do niego. Jakież jednak było przerażenie Ebersfelda, gdy tuż po strzale rozległ się przeraźliwy okrzyk, poczem z drzewa spadło na dół ciało ludzkie, w którem rozpoznał 12-letniego synka swego. Chłopak z pustoty wylazł na drzewo, skutkiem czego padł ofiarą nieostrożności własnego ojca. Rozpacz jego, gdy się przekonał, co uczynił, zrazu granic nie miała. Chciał nawet życia się pozbawić z tej samej dubeltówki, którą zastrzelił własne dziecko.

Walka o oazę w Trypolisie. Jak pisaliśmy już, na piaszczystych przestrzeniach Trypolitanii znajdują się urodzajne miejsca, gdzie rosną drzewa palmowe i rozmaite inne, znajdują się źródła, gdzie mieszkają plemiona arabskie, które uprawiają urodzajne w tych miejscach grunta.



Włochom ciężko przychodzi każdą taką oazę zdobywać, bo Arabowie, mając broń palną, bronią tych swoich siedzib zacięcie. Obrazek nasz przedstawia taką walkę o oazę. Arabowie pod komendą oficera tureckiego odpowiadają strzałami na bombardowanie oazy przez zbliżające się wojsko włoskie.

„Król złodziejów“. Przed berlińskim sądem stanął niejaki Robert Neumann, drukarz z zawodu, którego od dawna już nazywano królem złodziejów kolejowych. Neumann wyglądał tak niepozornie i tak znać w nim zwykłego rzezimieszka, iż każdy musi się dziwić, jak człowiek ten mógł wynajmować wspaniałe pokoje w pierwszorzędnych hotelach europejskich, okradać wszystkich sąsiadów na setki tysięcy i nie być poznanym przez służbę Zamiast niego aresztowano bardzo często zupełnie niewinnych podróżnych. Neumann opowiadał o swoich czynach przed sądem nie jako więzień, lecz jako rzeczoznawca; spokojnie i poważnie tłómaczył sędziom wszystkie tajemnice swojego powodzenia, a zwłaszcza sławił doniosłość środka na sen, którym usypiał swoje ofiary w pociągach kolejowych podczas jazdy. Neumanna skazano na 12 lat więzienia.

Odwaga Arabów. Losy wojny włosko-tureckiej, przechyliły się, jak wiadomo do pewnego stopnia, na stronę Turków z powodu pomocy udzielonej im przez Arabów, których rząd włoski spodziewał się zjednać dla siebie. Arabowie, jak wykazały ostatnie walki, są znakomitym żywiołem wojennym i odznaczają się wielką odwagą.



Na obrazku naszym widzimy jeźdźca arabskiego, jak w pojedynkę rzuca się na oddział włoski, okazując w ten sposób swoją nieustraszoną odwagę wobec na pewne czekającej go śmierci.

Przeciw palaczom tytoniu i cygar. W Anglii utworzył się związek kobiet, które zobowiązały się nie połączyć się nigdy związkiem małżeńskim z palaczem. Utworzenie tego związku wywołuje drwiny w gazetach angielskich, które pokpiwają sobie ze stałości zasad związku, twierdząc, że z panien należących do niego każda zeń wystąpi, skoro tylko choćby najbardziej nałogowy palacz zechce się z nią ożenić.

Kobieta skazana na karę śmierci. Przed sądem przysięgłych w Londynie stanęła niejaka Fanny Gilligan, oskarżona o to, że swojego kochanka, Jamesa Iligginsa, oblała naftą i podpaliła. Zbrodniarka, już kilkakrotnie karana więzieniem, przyznała się do spalenia żywcem człowieka. Stwierdzono, że Giliggan cierpi na epilepsyę (padaczkę), pomimo to przysięgli skazali ją na karę śmierci. Gilligan rzekła w ostatniem słowie: »Więzienie było moim drugim domem rodzinnym; czułam się tam doskonale i miałam wielu przyjaciół; jestem bardzo zadowolona, że tam mnie pochowają«.

Pożądane nam są adresy ludzi chętnych czytania szczególniej z tych miejscowości, gdzie „Rola“ nie jest jeczcze znaną.

Największy sklep na świecie. Jak donosi jedno z pism londyńskich, ma tam niezadługo nastąpić otwarcie sklepu, który będzie można uważać za największy na świecie. Cały dom zbudowany jest z białego granitu, i posiada front długości 340 stóp. Druty przewodów elektrycznych w całym domu posiadają długość 24 mil angielskich, a wszystkie lampy elektyczne mają razem siłę 1,035.000 świec. Olbrzymie sale w tym domu pomieścić mogą 100.000

osób. 5.000 urzędników i urzędniczek zatrudnionych będzie w 115 różnych oddziałach obsługą kupujących; do ruchu osobowego w tym olbrzymim składzie ma służyć 24 wind elektrycznych, które wywożą ludzi na piętra, i 154 klatek schodowych. Na zbudowanie samej tylko konstrukcyi żelaznej tego domu spotrzebowano 21 milionów funtów stali. Wielkie sale restauracyjne pomieszczone zostaną w olbrzymich halach szklanych. W lecie będą się goście mogli orzeźwić w ogrodach na dachu, gdzie będzie także umieszczona kawiarnia. Na dachu również ma być urządzony plac zabaw dla dzieci.

Śmiertelna walka z bandytą. Mający wiele występków na sumieniu, bandyta francuski Salane, miał być przewieziony z Paryża do Bordeaux (Bordo) i stawiony tam przed sądem przysięgłych. W zeszłym tygodniu Salane, strzeżony przez dwóch żandarmów, jechał pociągiem pospiesznym do Bordeaux, pędzącym z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Podczas podróży Salane, któremu zdjęto z rąk kajdanki, wyszedł na kurytarz; nagle obróciwszy się, wymierzył pięścią idącemu za nim wachmistrzowi cios w głowę, błyskawicznie zbił szybę i wydostał się na stopień wagonu, zanim jednak zdołał wyskoczyć, pochwycił go w ramiona drugi żandarm, który, nie straciwszy przytomności, rzucił się za nim. — W oczach wielu podróżnych, daremnie ciągnących sznur alarmujący, aby zatrzymać pociąg, wywiązała się walka krótka, ale śmiertelna. Pociąg nie zwolnił szalonego pędu i walczący spadli. Żandarm zabił się na miejscu, zbója zaś, ciężko ranionego, przytransportowano do miejsca przeznaczenia. Łotr wziął na sumienie jedno życie ludzkie więcej.

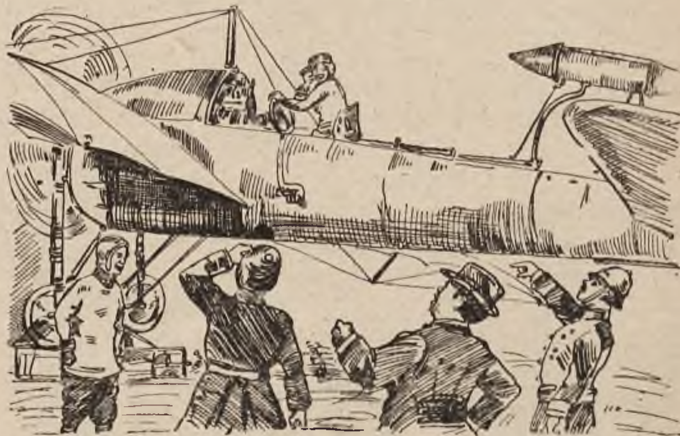
Cześć dla Najśw. Sakramentu w Hiszpanii. Główne ulice stolicy hiszpańskiej, Madrytu, ogromnie są ożywione. Panuje na nich bezustanku zamęt spieszących przechodniów, jeźdźców, pędzących samochodów i wszelkiego rodzaju pojazdów. Jakie więc zdumienie ogarnia cudzoziemca, gdy spostrzega, że nagle na drodze i chodnikach zapanowuje cisza kamienna. Ustaje gonitwa tłumów, konie i pojazdy ustawiają się w szeregu po jednej stronie ulicy, przechodnie stawają na chodnikach, środek ulicy się opróżnia. »Co się stało?« pyta cudzoziemiec i otrzymuje odpowiedź: »Najśw. Sakrament!« To kapłan z Panem Jezusem dąży do chorego. Przed nim w komży z zapaloną latarnią i dzwonkiem ministrant. Pierwszy powóz wysuwa się z szeregu, wysiada z niego jakiś dostojny pan, uchyla kapelusza, klęka i z głęboką czcią ofiarowuje kapłanowi swój pojazd. Kapłan siada do pojazdu, który posuwa się wolno, a właściciel pojazdu kroczy za nim pieszo z odkrytą głową aż do domu chorego. Na drodze, którą kapłan z Panem Jezusem przebywa, ustaje wszelki ruch, stawają nawet tramwaje elektryczne, wszyscy przechodnie zdejmują nakrycia głowy, klękają i oddają cześć Najświętszemu Sakramentowi. Przed niedawnym czasem wydarzyło się na jednej z ulic Madrytu, że królowa wdowa Marya Krystyna jechała samochodem, gdy z przeciwnej strony zbliżał się kapłan z wiatykiem. Sędziwa królowa natychmiast kazała zatrzymać pojazd, wysiadła i poprosiła kapłana, by zajął jej miejsce.

Podróż naokoło świata zamierza odbyć na samolocie, lotnik francuski, Mamet, z pasażerem, Millionem. Lotnik zamierza udać się z Francyi południowej do Hiszpanii, stamtąd do Algieru i Egiptu.

Amerykański strajk przeciw drożyznie mięsa. W ubiegłym roku urządzili Amerykanie ciekawy strajk przeciw zmowom przedsiębiorców mięsnych. Przedsiębiorcy ci zamierzali ceny mięsa i kiszek doprowadzić przez spekulacyę do niebywałej poprostu wysokości, a w części im się to już udało. Ale od czegoż energia amerykańska! Wypowiedziano temu wojnę. Po jednej stronie stanęły miliony ludności, po drugiej milionerzy, handlujący mięsem. Pierwsi powiedzieli sobie: nie jemy mięsa, a wobec tego ci, co na mięsie zbić chcieli miliardy, zostali pobici. Celem przeprowadzenia tem większej agitacyi na korzyść strajku mięsnego, kobiety i mężczyźni chodzili po ulicach z tablicami, na których widniał napis: »Nie jem mięsa! A wy?«

Olbrzymi pożar w Ameryce. W New Jersey, mieście amerykańskiem, szalał olbrzymi pożar, który wyrządził nieobliczalne szkody. W dymie udusiło się przeszło 300 koni, należących do pewnego towarzystwa hodowli koni. Zginęło także kilka osób. Ogólna szkoda, o ile dotąd oszacować zdołano, idzie w miliony dolarów.

Zabawny pościg. Pisma nowojorskie opisują zabawną historyę, osnutą na tle prawdziwego zdarzenia. Jedna z najodważniejszych lotniczek amerykańskich, Matylda Moisant, zapowiedziała wzloty w Long Island, miejscowości stanu nowojorskiego, na dzień niedzielny, nie wiedząc o tem, że prawo stanu nowojorskiego zabrania urządzania wszelkich widowisk w dni świąteczne. W chwili kiedy lotniczka siedziała już na latawcu, gotowa do odlotu, nagle zjawił się urzędnik policyi oświadczając, że zaaresztuje lotniczkę, jeśli ta dokona wzlotu.



W odpowiedzi na to wzbiła się p. Moisant w powietrze, pozostawiając zdziwionego nieposłuszeństwem urzędnika, hucznie oklaskiwana przez rozbawioną publiczność. Urzędnik, nie zwlekając, puścił się samochodem w pościg za uciekającą lotniczką, która wylądowała, wsiadła do samochodu, chcąc uciec do sąsiedniego stanu. Na granicy dopędził ją gorliwy urzędnik, nie mając jednak pisemnego rozkazu aresztowania lotniczki, musiał się zrzec tego zamiaru. Wypadek ten nastręczył gazetom amerykańskim okazyę do najuciesznieszych opowiadań.

Olbrzym - kobieta. W Chicago, w Ameryce, mieszka młoda 22-letnia panna Burke, wysokości przeszło 5 stóp, a wagi 825 funtów t. j. 8 cetnarów i 25 funtów. Wobec jej olbrzymich rozmiarów, niejednokrotnie proponowano jej ukazywać się za pieniądze, lecz dumna i zamożna Amerykanka propozycye odrzuciła.

Armia chińska. 400-milionowe to państwo, w którem wre zaciekła wojna domowa, wyzbywa się już zwolna zacofanych urządzeń na każdem polu, a stara się gorliwie o postęp w zakresie wojskowości. Europejscy instruktorzy wojskowi sprawność armii chińskiej wielce podnieśli; uzbrojenia europejskie przyczyniły się do jej siły. Daleko do tego, by dorównała armii japońskiej, poczyniła jednak znaczne postępy.

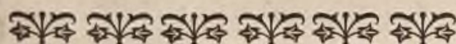


Obrazek nasz przedstawia wojskowych w dawnym stroju i umundurowanych na europejski sposób. Na prawo widzimy żołnierza z przed lat 15 tu, nieco na przodzie jenerała z tego samego czasu. Trzeci ku środkowi również jenerał z przed lat dwudziestu. Po prawej stronie widzimy reprezentantów armii chińskiej w mundurach europejskich, t. j. oficer chiński umundurowany na wzór huzara francuskiego, drugi nieco bliżej stojący, oficer wyższy a za nim stoi żołnierz w pogotowiu.

Ile łowią śledzi w morzu? W ostatnich latach połów śledzi przy wschodniem wybrzeżu Anglii znacznie się zmniejszył; powetuje to jednak rok bieżący. W dwóch tylko nadbrzeżnych miejscowościach angielskich od września złowiono 854 milionów śledzi. Jest to najwyższa, osiągnięta dotychczas cyfra. W roku 1907 przez cały okres łowienia trwający do świąt Bożego Narodzenia, złowiono 520 milionów śledzi. W roku bieżącym w jednem tylko mieście liczba ich doszła do 530 milionów.

Wzrost ruchu wychodźczego przez Tryest. W listopadzie b. r. zaznaczył się znaczny wzrost ruchodźczego na parowcach Austro-Amerykany, podczas gdy bowiem w tym samym czasie roku zeszłego wyjechało z Tryestu do północnej Ameryki 584 osób i do południowej Ameryki 879 osób — razem 1463 osób, wzrosły te cyfry w roku bieżącym: do północnej Ameryki wyjechało 1189 osób, do południowej Ameryki 1104 osób, razem 2293 osób.

Jak utrzymać krowy w spokoju przy dojeniu? Jedno z fachowych pism niemieckich radzi, aby szmatę zmaczaną zimną zupełnie wodą na krzyże położyć. Środek ten skutkuje natychmiast, a krowy, na które nie było sposobu uspokojenia, po użyciu tego prostego środka stoją najspokojniej przy dojeniu.



Zagadki do nagrody.

Ażeby nie przenosić rozwiązań zagadek z roku bieżącego do następnego rocznika, w dzisiejszym i następnym numerze zagadek nie drukujemy. Zaczniemy je znowu umieszczać w numerze 1. z 1912 r.

Znaczenie zagadek z nru 50 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Syrokomla,** 2. Szarada: **Stojałowski,** 3. Szarada: **Gliceryna,** 4. Szarada: **Kolebka,** 5. Szarada: **Główka cukru,** 6. Szarada: **Kartagina.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Dusza moja tęskni, skomli
Do pisania wierszy przecie,
By dorównać Syrokomli
Albo innemu poecie,
Na nic sprawa!
Stojałowski, zgon wywróżył
Na lat wiele i ja przeto
Bogu, ludziom będę służył
I pytał: Jestem poetą?
Na nic sprawa!
Bo mówiła Moroniówna,
Żem już stary, jakby z gliny:
Moja cera zeru równa,
Na pysk trzeba gliceryny!
Na nic sprawa!
Akłaibok, tatarzysko,
Rzekł, żem jak dziecko w kolebce
Naiwny, żem szału blisko,
Żem człowiek o szóstej klepce.
Na nic sprawa!
Aż moja luba dziewczyna,
Nie tak jak tatar lub który
Rzecze: A skąd Kartagina?
Prawda, że z wołowej skóry?
Dobra sprawa!
Więc kiedy moja dziewczyna,
Mnie równa aż z Kartaginą —
Pal sęk innych, hej dziewczyno!
Książka będzie... złota mina!
Dobra sprawa!

Wojciech Cetera.

2.

Niechaj będzie pochwalony!
Zbawiciel nam narodzony:
Z temi słowy »Rolo« droga
Spieszę do Redakcyi proga!
Chcesz zagadek rozwiązanie?
Masz tu Redaktorze Panie:
Pierwsza Syrokomla, lirnik mazowiecki;
A druga szarada, to ksiądz Stojałowski!
Trzecia gliceryna, dostanę w aptece,
Jeśli tylko cenę stosowną zapłacę.
Z belek dom budują, czyż o tem nie wiecie?
Kolebka znajdzie się prawie w każdej chacie,
We wigilię by się ugościć przystało:
Małą główkę cukru kupićby się zdało!
Lecz cukier podrożał, więc jak tu kupować,
Trza się obejść smakiem a pieniądze schować!
Lecz, przecież to święta! więc kupić choć wina!
Żebym nie zapomniał — miasto Kartagina.
Poszło mi dość gładko! Redaktorze Panie,
Na gwiazdkę podarek dajcie za pisanie!
Nie jestem natrętny? lecz do Waszej woli,
Proszę Was te słowa wydrukować w »Roli«!
Życzę świąt Wesołych całej Redakcyi,
I Maćkowi, tej pociesznej beskurcyi,
Żeby dużo nie jadł, niech o tem pamięta,
Bywaj zdrowa »Rolo«, miej wesołe święta!

Walenty Pasierb.

3.

Bardzo ładne zostawił Syrokomla tony,
Długie lata pracował dlatego jest znany,
Lecz i teraz niedawno żył pomiędzy wami
Stojałowski, który pomarł, pracując nad nami.
U nas i po sklepach znajdę glicerynę,
Ale zawsze w aptece najlepszą dostanę,
Kto sobie spamięta, gdy jeszcze był mały,
Kolebka to cukier, był to czas wspaniały,
Lecz to wszystko przeszło pomyśl tylko tak,
Minęło, zginęło Kartagina czy też jak.
A gdy się plac znajdzie pracę wydrukować,
A w zamian na los szczęścia książkę wylosować.

Stanisław Kumięga.

4.

Gdym otrzymał w piątek »Rolę«,
Położyłem ją na stole,
I sam siadam do niej chętnie,
Bo mi bez niej było smętnie.
Wnet do szarad mych zaglądam,
I odgadnąć wszystkie żądam.
Wpierw arytmogryf się okazuje,
Więc go zaraz odgaduję.
Syrokomla, to nie byle wierszokleta,
Lecz miły i sławny polski poeta.
Czytam szaradę pierwszą, tu patryota gorący,
Czartoryski do wielkich czynów się rwący.
Nad następną szaradą nie bardzom się zmęczył,
By mi nieraz aptekarz glicerynę doręczył.
Ostatnia szarada ukrywa kolebkę,
Przy niej ujrzysz drogą dziecięcia mateczkę.
Jeszcze nad zagadką trochę się pobiedzę,
A potem do czytania całej »Roli« siędę.
A więc głowa cukru niema wcale buzi,
Okrągła jest i słodka, lubią mali, duzi.

Wojciech Moroń z Ł.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali P. P.:

M. Dudek z Ż., J. H. Łukasiewicz z J., Wincenty Flis z L., J. Boratyńska z R., J. Kargol z L., J. Gaber z W. Ł., M. Synowcówna z Ś., W. Nowacki z Z., Fr. Sojka z Z., Jan Szypuła z H. K., Fr. Teper z M. K., Zarząd Kółka rolniczego w Górkach, Jan Leja Lejowski z Cz. D., Ant. Zwiercan z K., Jan Bobrowski z O., Jan Spławiński z J. p., Jan Bąbaś z O., Walerya Trębaczowa z K., Arkadyusz Szarek z S. W., Wincenty Gąsiorek z B, Wojciech Szocik z D. M, Franciszek Markiewicz z S., Wojciech Razmus z S., Jan Wojnar z M. K., Marya Radlmesserówna z S, Adam Warchoł z Z, Piotr Świrad z Cz., Adela Bezokówna z K. M., Zofia Pawłowska z Z., Józefa Hirszberg z K., Karol Baron z P.

Pierwszą nagrodę p. t. *Z chłopskiej niwy* wylosowała p. **Marya Radlmesserówna** z S., zaś druga pt. *Grunwald* Walerego Przyborowskiego **Wojciech Cetera** z Ch.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

P. P.: Jan Maćków w S. W.: Ciekawe życzenie! za koronę chce Pan mieć »Rolę« przez kwartał, kalendarz i jeszcze (bagatela!), książeczkę do nabożeństwa! Cośmy pisali na kartce, pamiętamy, ale pisaliśmy tam także, że na taką drobną kwotę, jak prenumerata »Roli«, nawet najbiedniejszy zdobyć się może. — Wojciech Tylka: Wszystkie prace nadsyłane wliczamy do konkursów. Jaki będzie wynik, wkrótce Pan zobaczy. Dziś my sami jeszcze nie wiemy. — S. Stolarzewicz w D.: Zagadka dobra. — Jan Świątek w Ż.: Nadesłany wiersz p. t. »Noc w Betleemie« dobry, ale niestety nie mógł się zmieścić w świątecznym numerze z powodu swej długości i braku miejsca a szczerze żałujemy. Prosimy o inne, krótsze utwory. A możeby i prozą coś? — Wojciech Szocik w D. M.: Wierszyk przyszedł zapóźno, gdyż musieliśmy ze względu na święta druk numeru przyspieszyć. Schowamy go do kalendarza. — Ludwik Cholewa w Ś. g.: Nadesłane zagadki umieścimy. — Wojciech Razmus w S.: Za pozdrowienia dziękujemy — szarada dobra. — Antoni Ciura w B.: Na kredyt bezwarunkowo nie wysyłamy. — Jan Bożek w J.: Wesoły arytmogryf, choć będzie nieco spóźniony, umieścimy po Nowym Roku. — Józef Barcik w Ś.: Przecież Maciek nie twierdził, że zaprzestanie gadać! Owszem z nowej służby wiele nowych i ciekawych rzeczy opowie. — W. Gaweł w S. W.: Przyjaźń każda jest nam bardzo cenną, ale nie da ona się pieniądzmi wynagrodzić, gdyż w takim razie musielibyśmy pójść z torbami. Za życzliwość serdeczne dzięki. — Wł. Kwolek w R.: Wierszyk otrzymaliśmy i gdy miejsce będzie, umieścimy. — Anna Żebrok w B.: Zagadki umieścimy. — Stanisław Kumięga w K.: Pierwsza i druga szarada znane — trzecią umieścimy. — Andrzej Starzyk w R.: Za miłe dla nas słowa uznania i obietnice dzięki. — B. Moroniówna w Ł.: Otrzymaliśmy — pójdą. — St. Cabaj w G.: Opis obchodu w Gręboszowie mocno spóźniony, trudno drukować, choć wiersz niezły. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Za miłe dla nas słowa serdeczne dzięki. Oby wszyscy tak myśleli, jak Pan a byłoby dobrze. — Stanisław Habura w R.: Humoreskę otrzymaliśmy — wydrukujemy. — Teofil Tryczyński w N.: Niestety przyszło zapóźno — schowamy na później. Za życzenia dzięki — Franciszek Łątka z D.: »Wesołych Świąt« wzajemnie życzymy. Dziękujemy za marki. — Jan Dubiel z S.: Numeru 22 nie posiadamy. — Władysław Czopek Żądanych numerów już nie posiadamy. — Jan Czarniecki w Z.: Zupełnie słuszne Pańskie uwagi — polityka jest na to, aby różni ludzie — nie zawsze mądrzy — wypływali na wierzch. Za życzenia i słowa uznania serdeczne dzięki. Z listu Pańskiego skorzystamy w jednym z następnych numerów. Maciek za życzliwość również dziękuje. — Walenty Pasierb w Cz.: Wiersz »Gwiazda Betleemska« przyszedł zapóźno do dzisiejszego numeru — inne dwa umieścimy. Za życzenia dzięki. — Michał Zając w B. G.: Za tak miłe dla nas słowa serdeczne dzięki, są one dla nas zachętą do dalszej pracy. Żądane mapy posiada Księgarnia Krzyżanowskiego, Kraków. — Julia Sławek w Z.: Artykulik »Msza pasterska« przyszedł zapóźno, aby mógł być drukowany, wysłaliśmy go więc, według życzenia do Bratkówki.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

PP.: Sobkiewicz Seweryn z P. 2·50 K. — Pradowa Zofia z P. 2 K. — Nyczowa Celina z B. 2 K. — Trojan Ludwik z B. 2 K. Święch Fabian z O. 2 K. — Koś Karol z P. 2 K — Rolek Katarzyna z S. 1·50 K. — Wlazło Wojciech z K. 1 K. Sowa Szymon z L. 1 K. — Krzyszpień Jan z J. 2 K. — Przewoźnik Jan z G. 2 K. — Wachowicz Jan z T. 1·70 K. — Wielgus Wojciech z G. 2·50 K. — Fryc Michał z S. 1 K. — Długołaty Stan. z O. 3 K. — Maćków Jan z S. 1 K. — Mucha Jan z K. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 19 grud:.

Pszenica	Kor.	11·70	do	12·—	za 50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10·45	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·90	„
Owies	„	9·—	„	9·50	„
Otręby pszenne	„	6·85	„	7·—	„
Otręby żytnie		7·10	„	7·20	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 19 grudnia:

Buhaje	Kor.	120	do	300	za sztukę
Woły	„	250	„	390	„
Krowy	„	140	„	303	„
Jałówki	„	112	„	236	„
Cielęta	„	22	„	80	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)	„	124	„	140	za 50 kg

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Swierzyńskiego